Poznań
Daszyńskiego 100 m.6

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 2 kwietnia 1950 r. | Nr 13 (227

TREŚĆ NUMERU: Patryk — Sylwester; Bruce Marshall — Rozmowa w spiżarni; Humor staropolski — podał do druku B. M. Długoszewski; Włodzimierz Wnuk — Zakochany burmistrz; Artur Hutnikiewicz — Hugo Kołłątaj; Eugenia Kobylińska — Łowca światłocieni; Eugeniusz Paukszta — Poeta pędzla; Leszcz — Piędź ziemi; Tadeusz Kordyasz — Confiteor łaknących; Wiktor Doda — O nowym wydaniu Siekiewicza; Co piszą inni...

Juliusz Nowak-Dłużewski

POSTAĆ REFORMATORA

(W dwóchsetlecie urodzin Hugo Kołłątaja)

W Kołłątaju zastanawia wszechstronność i jednoczesna gruntowność jego zainteresowań, które słusznie możemy dziś mierzyć skalą renesansową. Bo na pojęcie „renesansowości" uzdolnień składa się nie tylko moment ich wszechstronności, różnorodności, ale również moment pozytywnych rezultatów badań i dociekań.

Jednym z dowodów naszej „młodszości cywilizacyjnej" jest fakt, że na urodzaj twórczych natur typu renesansowego nie zdobyliśmy się w okresie właściwego naszego Odrodzenia w w. XVI, że dopiero w epoce Oświecenia zaczynają się zjawiać w Polsce ludzie, którzy nas zadziwiają szerokością dociekliwych badań, ogarniających rozległe bardzo obszary duchowego życia człowieka. Można tu uczynić wyjątek dla jednego tylko A. Frycza Modrzewskiego, który już w wieku XVI osiągnął dojrzałe rezultaty syntez, wkraczających nie tylko w subtelną mechanikę ustroju państwa polskiego, ale — i w gruntowną problematykę naszego życia kulturalnego i religijnego w w. XVI.

Szereg „postaci renesansowych" w w. XVIII rozpoczyna Stanisław Konarski, równie gruntowny statysta polityczny, jak dociekliwy badacz teorii lieratury i szczęśliwy reformator naszego wychowania narodowego. Stanisław Staszic na stałe pozostanie w dziejach naszej kultury jako teoretyk polityczny; trwałym rezultatem jego pracowitego żywota są również naukowe prace w zakresie geologii, jeżeli już pominąć daleko sięgające w przyszłość narodu polskiego prace organizacyjne naszego życia gospodarczego w okresie Królestwa Kongresowego.

Wszechstronniejszymi jeszcze wynikami swej pracy zapisał się w naszych dziejach współczesny Staszicowi Hugo Kołłątaj. Przyniósł ze sobą na świat żywość umysłu, młodzieńczą przez całe życie ruchliwość i rzutkość, połączoną z benedyktyńską cierpliwością i zaciekłością przy rozstrzyganiu nastręczających mu się problemów.

W dziedzinie badań historycznych pozostawił trwałe ślady swej twórczej myśli. Nie piszę o jego dziełach historycznych, ciekawych zresztą pod względem przedmiotowym (jak np. „Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III"); o wiele więcej interesuje nas, ludzi dzisiejszych, uzasadniona w szczegółach jego metodyka badań historycznych w Polsce, które Kołłątaj chciał oprzeć na szeroko rozbudowanej podstawie źródłowej. Podstawę tę tworzyła dla Kołłątaja geografia, potem zaś dokładna znajomość kultury ludowej; wszystko to musi poprzedzić wszelkiego rodzaju syntezy polityczne z dziejów polskich, jeżeli się nie chce, by syntezy te zawisły w powietrzu. Żąda od polskich towarzystw naukowych wydawania źródeł politycznych (corpus diplomaticum), żąda wydania historyków polskich (corpus scriptorum rerum polonicarum), źródeł geograficznych i moralistyki staropolskiej. Projektuje program prac w historiografii niemal pozytywistyczny, realizowany przez historiografię polską w. XIX.

Prekursorskie stanowisko Kołłątaja wyraźniejsze jest jeszcze w nauce etnografii polskiej, którą Kołłątaj pierwszy u nas wyodrębnił jako samodzielną dyscyplinę naukową, stając się jej fundatorem zarówno we właściwym postawieniu metodyki tej nauki, jak i w programie szczegółowych badań etnograficznych. Warto tu zwłaszcza przypomnieć o głównych postulatach Kołłątaja, postawionych w znanym liście do księgarza Maja z dn. 15.7.1802 (pisanym z więzienia ołomunieckiego, w którym przesiedział blisko osiem lat, wtrącony do niego przez Austriaków, a na żądanie caratu).

Zadziwia pełnia programu badań, która pociągnęła współczesnych. Wiemy, że list ten był czytany przez Tadeusza Czackiego na posiedzeniu warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i pobudził do wyłonienia Deputacji Towarzystwa w przedmiocie badań twórczości ludowej. Już po śmierci Kołłątaja uniwersytet wileński rozwija nie bez impulsu Kołłątaja plan badań etnograficznych na Litwie za pośrednictwem nauczycieli tamtejszych szkół średnich. Nie bez znaczenia jest dla nas fakt (jak to niedawno dowiódł Konrad Górski), że z tych badań pochodzi pomysł twórczy mickiewiczowskiej „Grażyny". Nie popełnię przesady, jeżeli powiem, że program kołłątajowski badań etnograficznych, realizowany stopniowo przez Surowieckiego, Czewińskiego, Zoriana Dołęgę Chodakowskiego i szereg innych etnografów polskich wieku XIX i XX, nie jest jeszcze do dziś wyczerpany.

Kołłątaj był z wykształcenia i zamiłowań humanistą. Toteż nie bez zdziwienia stwierdzamy, że równie pionierską rolę, jak w dziedzinie humanistyki, pełnił Kołłątaj w naukach przyrodniczych, specjalnie w geologii. Jego rzecz o geologii, mieszcząca się w drugim rozdziale „Rozbioru krytycznego zasad historii" a zatytułowana „O potopie" świadczy wedle opinii fachowców „o niepospolitym opanowaniu samego problemu", jest dowodem „nadzwyczajnej erudycji i znajomości współczesnej literatury geologicznej (Dr Tad. Wiśniowski. Z dziejów geologii w Polsce. Kosmos 1915)". I znowu trzeba powiedzieć, że w sferze geologicznych zainteresowań Kołłątaja nie tyle nas pociągają wyniki przedmiotowe jego badań, ile droga jego dociekań naukowych. „Umysł naszego uczonego— cytuję dalej głos wymienionego historyka geologii w Polsce — rozumuje ściśle i przyrodniczo, jest samodzielny i krytyczny, badając każdą kwestię w rozmaitym oświetleniu i zdając sobie jasno sprawę ze znaczenia późniejszego „working hypothesis"..., a pisze w sposób tak zajmujący i jasny, językiem i stylem tak pięknym, że prawie nie chce się wierzyć, że pisano to z górą przed stu laty".

Sądzę, że wymienione pozycje dorobku naukowego Kołłątaja dowodzą oczywistej jego wszechstronności, o której była mowa na początku tych uwag. We wszystkich badaniach teoretyczno-naukowych cechuje go widoczna wszędzie dyscyplina metodyczna, równocześnie zaś — gruntowność przedmiotowa, oparta na trzeźwej i rzeczowej analizie badanej rzeczywistości. Nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia ze spekulatywnym umysłem badawczym wysokiej klasy, przerastającym ówczesną rzeczywistość polską, a nie ustępującym najwybitniejszym uczonym europejskim.

Przebywanie w sferze abstrakcji naukowych nie odrywało Kołłątaja od codziennego życia, nie zdołało go pozbawić wrodzonej mu zdolności bardzo szybkiej orientacji w przebiegach życia realnego. Wybitny nous theoretikos kojarzy się w jego osobowości z niezwykłą giętkością taktyki życiowej, umiejętnością praktycznego organizowania dla własnych celów okoliczności życiowych, kojarzy się nie tyle z talentem dyplomatycznym, ile z subtelnie wydoskonalonym sprytem życiowym, który umie cierpliwie przez lata całe zdążać drobnymi nawet etapami do wytkniętego celu, wracając po przegranej do ponownego cierpliwego dzierzgania misternej gry życiowej. To był ten gatunek sprytu życiowego, przy którym Kołłątaj zapominał niekiedy de finibus bonorum et malorum, uważając za dobre to, co go prowadzi do zamierzonego celu. Nie przebiera w środka i ludziach, byle stworzyć dla siebie skuteczną odskocznię działania.

Takim pozostał do końca swej kariery publicznej, dokąd mu pozwolono działać. Wykazał takie talenty praktyczne, że ktoś ze współczesnych nazwał go polskich Richelieu, który się urodził w złych dla siebie czasach i który nie przerósł efektami swej pracy Francuza tylko dlatego, że trafił na wyjątkowo fatalną dla siebie epokę na przemożne przeszkody polityczne, które brutalną elementarną siłą faktów materialnych zniweczyły i połamały jego plany polityczno - kulturalne, same w sobie rozumne i pożyteczne dla społeczności.

A teraz sprobujmy rozstrzygnąć we własnym zakresie pytanie, które stawiali wszyscy poważniejsi badacze Kołłątaja: jaka była faculte maitresse osobowości Kołłątaja, która pełniła rolę dźwigni jego czynów?

Odpowiedź brzmi prawie wszędzie jednakowa: ambicja.

Był ambitny i to bardzo ambitny. Przy ocenie ciężaru gatunkowego tej inkryminowanej ambicji musimy się jednak dobrze zastanowić, aby ryczałtowością i ogólnikowością sądu nie skrzywdzić pamięci człowieka, który własnymi ramionami o nieposzlakowanej prawości, wespół z towarzyszami niedoli, podpierał walący się pod uderzeniami przemocy, państwowy gmach Rzplitej.

Zgon Emanuela Mounier

Dnia 22 marca zmarł w Paryżu niespodziewanie na udar serca Emanuel Mounier naczelny redaktor głośnego miesięcznika „Esprit", jeden z czołowych współczesnych filozofów katolickich.

Postaci Emanuela Mounier nie potrzebujemy przypominać naszym czytelnikom. Znają Go wszyscy, gdyż prace Jego były stałym przedmiotem naszych zainteresowań.

Rozpoczynając swą działalność w r. 1931 rozprawą o Karolu Peguy, Emanuel Mounier wydał sam świadectwo swemu ideowemu powiązaniu z wielką tradycją postępowej i radykalnej społecznie myśli katolickiej francuskiej, której wielkimi prekursorami byli Leon Bloy, Karol Peguy i Ernest Hello.

Całą swą działalność filozoficzną, publicystyczną i polityczną poświęcił Emanuel Mounier w służbie odrodzeńczym tendencjom katolicyzmu francuskiego. Wokół stworzonego przez niego ruchu personalistycznego, wokół miesięcznika „Esprit" koncentrowała się najżywotniejsza współczesna myśl chrześcijańska. Wielką zasługą Mounier było tu zresztą wyłamanie się z typowego intelektualnego getta, grożącego tak łatwo katolickim ośrodkom. Gromadzili się wokół niego działacze i pisarze różnych zainteresowań i przekonań dla realizowania wielkiej idei odnowy katolicyzmu we Francji i służenia tym samym sprawie postępu i sprawiedliwości społecznej.

Wielka twórczość Emanuela Mounier domaga się szczegółowej analizy. Nasz podziw i szacunek dla Jego dzieła nie wyklucza krytyki niektórych sformułowań politycznie czy ideowo różnych od naszych. — Niezależnie jednak od tych różnic należał Emanuel Mounier do wielkiego, światowego ruchu chrześcijańskiej walki o postęp i sprawiedliwość, więc był nam bratem i przyjacielem.

Oddajemy cześć wielkiemu dziełu Emanuela Mounier, całym sercem łączymy się z żałobą jego francuskich przyjaciół. Zespołowi „Esprit" składamy, wraz z wyrazami współczucia, życzenia, by w duchu dzieła całego życia swego kierownika — prowadził je dalej z troską, by ruch personalistyczny zawsze był częścią składową tworzącej się historii.

Nie był oczywiście ambitny w stylu Konarskiego, którego niewątpliwe ambitne zamierzenia i klęski obserwujemy dziś z głębokim wzruszeniem i szacunkiem, z uczuciem, w którym nie ma miejsca na żaden głos zastrzeżenia. Pewnie, że ambicja Kołłątaja nie była tak kryształowej jakości i przejrzystości, jak jego poprzednika, wielkiego pijara. Było w niej trochę pychy, może zanadto wiele trochę wygodnictwa życiowego (o synekurki dba i potrafi ich zacięcie bronić). Nie ulega jednak wątpliwości, że jego ambicja była ostatecznie, powtarzam: ostatecznie, służebnicą dobra powszechnego.

Historia politycznej działalności Kołłątaja w latach 1788 — 1794, w ostatnich latach samoistności dawnej Polski, kiedy Kołłątajowi wolno było bez przeszkód pracować publicznie, równa się w swej istocie historii politycznej całego narodu: jego triumfy w czasie sejmu czteroletniego i powstania kościuszkowskiego są triumfami nowej, budującej się Polski, jego klęski są klęskami postępu politycznego i społecznego w Polsce, jego niepowodzenia w okresie rządów Targowicy są niepowodzeniami całej rozumnej części społeczeństwa polskiego, jego ostateczny upadek po zgnieceniu powstania Kościuszki jest ostatecznym upadkiem państwowości polskiej. Kołłątaj tych czasów jest — jednym słowem — symbolem i w znacznej mierze wcieleniem dźwigającego się do lepszego życia narodu polskiego. Jeżeli działał wtedy pod wpływem ambicji, ambicja jego była motorem twórczego, dobroczynnego postępu w całym naszym życiu publicznym.

Bo zważmy tylko:

„Listy Anonima“ z r. 1788 są najrozumniejszą syntezą reform ustrojowych państwa, jaką kiedykolwiek wydała dawna Polska, syntezą idealną, ale całkiem realnie liczącą się z wymaganiami ówczesnej Polski, więcej, niż analogiczny systemat polityczny Staszica. Nie jest to synteza oryginalna w swoich częściach składowych. W politycznych żądaniach urzeczywistnia pomysły Konarskiego, w socjalnych — całego szeregu reformatorów osiemnastowiecznych, wywodząc swój ostateczny rodowód ze szlachetnej myśli społecznej A. Frycza Modrzewskiego. Zasługą Kołłątaja jest nadanie całości wewnętrznej harmonii, dzięki której traktat polityczny żyje życiem realnym. Zasługą Kołłątaja jest zaostrzenie metodyczno -stylowe całości rozważań do rzadkiej w naszej publicystyce politycznej wyrazistości, co wszystko stawia „Listy Anonima“ na pograniczu dzieła sztuki literackiej. Wierzę, że Kołłątaj, człowiek o bardzo niskiej temperaturze uczuciowej, animując do dzieła delegację sejmową w odezwie „Do Prześwietnej Deputacji“ sam się musiał zarazić zapałem, który pragnie wzbudzić w prawodawcach. Do jednej z piękniejszych części „Listów Anonima“ należą listy, biorące w obronę sterany i zbiedzony stan miejski, zwłaszcza zaś — chłopa, doprowadzonego dzięki stanowemu egoizmowi szlachty do poziomu bydlęcia. Oba te stany, zwłaszcza zaś miejski, miały odegrać specjalną rolę w nowej Polsce według Kołłątaja, który chciał „dolać świeżej oliwy do dogorywającej lampy szlacheckiej“.

Wszystko to pisze Kołłątaj z siłą, z przekonaniem, z uczuciem intelektualnej odrazy do feodalnej Polski, która pod koniec w. XVIII stała się nonsensem nie do zniesienia. Nie można powiedzieć, by to wszystko pisał człowiek, któremu „ambicja serce spod serca wykradła“. Pisał to wszystko człowiek rozumny, sprawiedliwy, który miał to szczęście, że mógł własnymi oczyma oglądać rezultaty długotrwałych prac w akcie konstytucji majowej.

Obrona dzieła konstytucji majowej w wydanej na emigracji książce „O ustanowieniu i upadku konstytucji 3 maja“ jest wielką zasługą m. in. i Kołłątaja, który wśród innych tej książki autorów bronił w oczach współziomków tego politycznego dzieła.

Ostatni akt ci politycznej Kołłątaja przypada na powstanie kościuszkowskie, podczas którego rozwinął on raz jeszcze znane zasoby energii obrotności, wiedzy i umiejętności. Szacowano wysoko tego „przyjaciela ludu“, jak świadczą słowa pieśni kościuszkowskiej „Do uzbrojonego ludu pod naczelnictwem Tadeusza Kościuszki“.

Kiedy na łono wasze wrócił podkanclerzy,
Liczcie dziś sto tysięcy w swych murach żołnierzy.

Przeciwnicy Kołłątaja zarzucali mu stale zbytni jakobinizm, ujawniony praktycznie w toku zdarzeń insurekcji. Rzeczywiście, Kołłątaj był dotychczas propagatorem „łagodnej rewolucji“ (to nie Dekert jest autorem tego popularnego wtedy — i dziś — terminu politycznego, jak o tym czyta się stale w naszej prasie). Kołłątaj przeszedł w czasie powstania na tory „rewolucji gwałtownej“, nawet krwawej, dając inspirację do znanych wystąpień ulicznych w dniach 9 maja i 28 czerwca 1794, podczas których zawiśli na szubienicach warszawskich znani targowiczanie jurgieltnicy Katarzyny II, zaprzańcy słusznej sprawy narodowej, przedstawiciele najczarniejszej, wyuzdanej reakcji politycznо-społecznej.

Na zmianę frontu taktyki działania zanosiło się u Kołłątaja jeszcze w drugim roku sejmu czteroletniego, kiedy to Kołłątaj zmobilizował celem przeforsowania żądań mieszczan — słynną „czarną procesję“ mieszczańską, która rzuciła postrach na reakcję warszawską, już wtedy węszącą bliskie akty terroru francuskiego, na ziemi polskiej. Widmo krwawej rewolucji francuskiej ukazało wtedy już z bliska swoje oblicze przerażonej Warszawie, a ówczesna poezja polityczna odsłania nam rzeczywiste nastroje rewolucyjne, przeniesione znad Sekwanny nad Wisłę. Nie ulega wątpliwości, że zradykalizowanie Warszawy z jego praktycznymi skutkami w znacznej mierze należy przypisać klubowi politycznemu i pisarskiemu Kołłątaja, „kuźnicy kołłątajowskiej“.

To wszystko mogło uczynić imię Kołłątaja niepopularnym nawet w postępowych sferach społeczeństwa, żądających umiarkowanych metod działania. Niepopularnym w tym stopniu jak popularnym był ten "przyjaciel ludu" wśród mas ludowych Warszawy.

Zdaje się, że na szali, na której kładziono w r. 1794 i później winy i zasługi Kołłątaja, sporo zaważyła osoba Naczelnika, z którym Kołłątajowi wypadło ściśle a równocześnie działać. Takie bliskie sąsiedztwo należy uznać za ujemny dla Kołłątaja zbieg okoliczności historycznych. Z Kościuszką, Kołłątaj nie mógł już wytrzymać konkurencji i nie wytrzyma jej również dziś, w oczach naszych, chociaż podkanclerzy koronny przerastał Naczelnika zdolnościami działacza politycznego i rzutkiego organizatora. Ba, ale któryż z działaczy politycznych dawnej Polski, zdoła w ogóle wytrzymać konkurencję z Kościuszką jako osobistością, ogniskującą w sobie najlepsze dążenia narodowe?

Na powstaniu Kościuszkowskim kończy się właściwie działalność publiczna Kołłątaja, który odsiedziawszy wieloletnie więzienie w Ołomuńcu, po powrocie do kraju nie może już odgrywać dawnej swej roli publicznej. Poza jednym krzemienieckim epizodem. Na prośbę Tadeusza Czackiego opracował dlań plan organizacyjno-naukowy wielkiej wagi placówki naukowej na Wołyniu — liceum krzemienieckiego. Wywiązał się z zadania znakomicie. Ale nawet tę zasługę chciano mu ukraść, bo długi czas utrzymywano, że zasługa organizacji liceum przypada Czackiemu.

Ostatnie dziesięć lat życia przeżył Kołłątaj w stanie izolacji. Nawet najlepsi jego przyjaciele nie zdołali przyłożyć ręki, aby go wprowadzić w nurt czynnego życia (była to przecież era napoleońska). Obawiano się Kołłątaja, nie ufano mu; nieufność ludzka towarzyszy temu człowiekowi od zarania jego prac publicznych. Trafnie ujął ówczesną jego sytuację przyjaciel, Jan Śniadecki, który mu radzi „zrzec się na zawsze politycznych zatrudnień i nie przyjmować żadnego krajowego urzędu“. Doradza mu, by „posiadłszy dar i przymioty wzorowego pisarza, poświęcił się całkiem do zostawienia w dziełach swoich Polakom kodeksu mądrości i retoryki: wszak lepiej być Tacytem, jak pierwszym ministrem swego narodu“. Łatwo było Śniadeckiemu dawać takie rady, kiedy sam więcej wyglądał na „Tacyta“, niż na „ministra“. Kołłątaj nie mógł poprzestać na roli pisarskiej, bo jego żywiołem była właśnie czynna praca polityczna. Cały ten okres życia Kołłątaja jako epoka jego „wewnętrznej emigracji“, przymusowo mu narzuconej, jest najtragiczniejszą chyba epoką w niewesołym na ogół życiu tego człowieka, który widzi, jak na marne idą jego wielkie możliwości, jak się musi w nim nieprodukcyjnie spalać kipiąca energia, żądza czynu. Każdy, nawet niechętnie wobec niego usposobiony pisarz uznaje przymusową bezczynność Kołłątaja za szkodliwą dla interesów na-

W dziejach naszej kultury zapisał się trwale Kołłątaj z pierwszego okresu życiowego. Dzieło jego z tego okresu jest tak wielkie, że wystarczy, aby mu zapewnić naczelne miejsce w historii politycznej Polski, w historii naszej publicystyki i nauki, a nawet — literatury. Do historii literatury pięknej przejdą na zawsze utwory Kołłątaja, jako dzieła o jasnej i przejrzystej kompozycji, pisane stylem prostym i dokładnym. Zasługi Kołłątaja w organizowaniu naszej osiemnastowiecznej prozy są niemal równe zasługom Krasickiego w wypracowaniu osiemnastowiecznego języka poezji. Zasługi te uświadamiali sobie współcześni Kołłątajowi pisarze (jak Śniadecki), uznają je również ludzie naszej epoki.

To wszystko należy przypomnieć dziś, kiedy 1 kwietnia 1950 r. mija dwieście lat od chwili narodzin Kołłątaja. Przypomnienie postaci wielkiego reformatora, jest tym bardziej na miejscu, że należy on do tych ludzi polskiego Oświecenia, których pomysły, projekty, idee żyją w świecie dzisiejszym. **Juliusz Nowak-Dłużewski**

Sylwester

Sylwestra poznałem tak: przysłał mi list i 24 wiersze spięte wspólnym tytułem. Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć jak się to nazywało: „Sonata“, „Kwartet“ czy coś takiego. Wiem tyle, że był w tym słowie głos fletu wysoki i wibrujący. Zachęciło mnie to do lektury zwłaszcza, że list w którym prosił o recenzję był chłodny i bezpretensjonalny.

Przerzucając kartki zauważyłem, że wiersze są bezimienne, co dla mnie jest utrudnieniem lektury. Zwykłem bowiem wybierać ze spisu rzeczy jakiś tytuł, pomarzyć chwilkę na ten temat, a potem dopiero czytać co o tym myśli poeta. Wtedy to zaczyna się ów uroczy i podniecający handel wymienny wyobraźni. A tutaj żadnego punktu zaczepnego, wszystko znaczone trzema gwiazdkami (* * *) i jak tu zaprzyjaźnić się z tą astronomią.

Mój początkowy zapał ostygł, a kiedy stwierdziłem, że wiersze przepisywane są na niemieckiej maszynie i czytane dosłownie zamieniają się w bezradne seplenienie — złożyłem je w dolnej szufladzie biurka (po lewej stronie), tam gdzie odkładałem stare programy z koncertów i teatru. Odpisałem że wyjeżdżam i że odpowiem obszernym listem dopiero za miesiąc.

Oczywiście zapomniałem. Ale po miesiącu Sylwester zjawił się sam, przedstawił się i poprosił o zwrot wierszy. Trochę mnie to uprzedziło do niego: niby poeta a taki skrupulant. Poprosiłem więc o dwa dni zwłoki i powiedziałem, że wiersze są ciekawe (— ten przymiotnik wydał mi się najbardziej elastyczny i najmniej zobowiązujący). Zaraz po wyjściu Sylwestra zabrałem się do czytania.

Już pierwsze słowa utwierdziły mnie w przekonaniu, że mam do czynienia z autentycznym poetą. Bez żadnych wstępów wzbił się wysoko w górę metoforą zawrotnie śmiałą. Po metaforze wyłoniał się obraz, ale bez przejścia, bez widocznej potrzeby, z samego wrzenia niespokojnej wyobraźni. Obraz przesycony był powietrzem, pełen chwiejnych możliwości, że trudno mu było przypisać jakiś kształt utrwalony. Był to jakby pejzaż streszczony w paru kreskach szkicu, które za chwilę ktoś zmaże rękawem.

Po tym obrazie, myślałem, poeta odetchnie i zacznie się część refleksyjna. Ale nie, obraz znów wchodził w przenośnie, które teraz strzelały gęsto i po nieprzeczutym locie, wybuchały na samej granicy widzialności, krążąc wysoko w górze jak ognie sztuczne. Czytałem jakby z głową zadartą do góry. Przybłąkał mi się nie wiem dlaczego obraz poety o zmęczonych ustach cyrkowca. I stąd nawinął się tytuł recenzji: „Na trapezie zawrotnych metafor“.

We wstępie w entuzjastycznych słowach zapowiadałem rewelację literacką: nowy liryczny dreszcz. Ale po namyśle przekreśliłem wstęp, gdyż jego zielony entuzjazm, zdradzał mój żałośnie niepoważny, jak na krytyka wiek.

Zacząłem tedy — z początku bez większego przekonania — szukać zarzutów. To, co mnie oszałamiało, owe metafory, wydawały mi się teraz sztuczne i wysilone.

Zauważyłem u Sylwestra przerost tego pięknego środka poetyckiego, jego, że tak powiem, nachalność. Niszczyło to — moim zdaniem — w wielu wypadkach konstrukcję poetycką. To tak, jakby ktoś budował kościoły z nagich gotyckich łuków wstydząc się zwykłych cegieł i pospolitej zaprawy. Dlatego przeżycie liryczne zastępywało tutaj oszołomienie albo lepiej — dezorientację. A po skończeniu wiersza uczucie osamotnienia i niedosytu: gdy po bogatej serii błyskawic czekamy na grzmot — poeta podsuwa nam pod nos garść sypkiego proszku magnezji. Mówiąc „grzmot“ nie myślałem oczywiście o efekcie akustycznym, ale o wzruszeniu, czy może nastroju, albo raczej o lirycznej obecności poety. Tymczasem Sylwester, ustawiwszy dekoracje po zatopieniu ich w niezwykłym świetle, schodził ze sceny. Pisząc to przypomniałem sobie jego krótki i suchy uścisk ręki i ucieszyłem się tym przypomnieniem jakbym w nim właśnie znalazł potwierdzenie swoich uwag.

Przeczytawszy jeszcze raz to, co napisałem, przeraziłem się. Recenzja daleka była od ścisłości, pełna zato porównań impresji i obrazów. Nie chcąc bezpośrednio pochwalić Sylwestra użyłem jego metody. Była to jakaś złośliwość czy zemsta sylwestrowa, czy mimowolna aprobata jego poezji.

W końcu sam nie wiedziałem, czy recenzja jest pochlebna czy zbyt ostra, więc żeby to jakoś złagodzić napisałem, że obchodząc się z Sylwestrem surowo, jak z dojrzałym poetą, daję wyraz wielkim nadziejom związanym z jego poetycką przyszłością.

Po paru tygodniach znów przyszedł do mnie. Przyniósł nowe wiersze i powiedział, że teraz mieszka przy tej samej ulicy, co ja. Czułem że trzeba się nim zająć zwłaszcza, że jego oczytanie nawet w dziedzinie poezji pozostawiało wiele do życzenia. Wyjmowałem z biblioteki niebieskie tomiki i kazałem mu czytać na głos. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że Sylwester nie umie poprawnie czytać i była to nieumiejętność organiczna. Sylwester mieszał wyrazy, przestawiał szyk zdań plątał się i widać było, że nie może normalnie śledzić tekstu, słowo po słowie, wiersz za wierszem. Powstawały z tego małe improwizacje, pełne kalamburów i lapsurów z których śmialiśmy się razem, ale czasem, rodziła się stąd niespodziewana przenośnia. Leżałem zwykle na sofce i słuchałem z przymkniętymi oczyma. Raz tylko widziałem jak Sylwester ze złodziejskim pośpiechem zapisywał taką niezasłużoną metaforę na odwrotnej stronie biletu tramwajowego.

Świadomość Sylwestra pełna wykrętów, luk i zaćmień, funkcjonuje jak popsuta elektrownia. Przerwanie prądu nagradzają okresy olśnień, takie jakich nie doznaje nikt o uregulowanym nurcie spostrzeżeń i wzruszeń. Stąd w jego obrazie świeże białe plamy, stąd tęsknota do skojarzenia fragmentów rzeczywistości w całość, stąd owe metafory.

I stąd wreszcie, jeśli można zakończyć te spostrzeżenie uwagą osobistą, stąd powstał we mnie bolesny problem. Tytuł tego problemu brzmi — (może kiedyś napiszę o tym drugi i zjadliwy artykuł) — Poezja jako upośledzenie. **Patryk**

Bruce Marshall

ROZMOWA W SPIŻARNI

(Rozdział szósty powieści „Nieszpory w Wiedniu“)

Kiedy Schwester Kasimira obierała ziemniaki czyniła to ku większej chwale Bożej, podobnie jak jej świątobliwa poprzedniczka, św. Walburga z Grazu. Każdy ruch noża był modlitwą, a smutek był od niej daleki. Schwester Kasimira została zakonnicą, ponieważ kiedyś, gdy była jeszcze młodą dziewczyną, rodzice wzięli ją w Rzymie na operę. Opera nazywała się „La Forza del Destino“ i na początku II-go aktu, który przedstawiał hiszpańską „fiesta“, tenor uczynił znak krzyża i zaśpiewał: „In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti“, a skończywszy modlitwę, podniósł szklankę i kontynuował: „Viva la buona compagna“. Przyszło jej wtedy na myśl, że ponieważ nie można było dłużej modlić się na świecie, który rozdzielał przyjemność od Boga, przeto pozostawało jedyne wyjście — weselić się w klasztorze. Nigdy nie powiedziała o tym żadnej z zakonnic, ponieważ wiedziała, że wszystkie wstąpiły do klasztoru ze specjalnych powodów, o których nie mówiły wiele, za wyjątkiem Schwester Michaeli od Pana Jezusa Nauczającego w świątyni, która zawsze wspominała swe śliczne suknie, w których uczęszczała na zabawy, suknie tak pięknie odbijające się w lśniących posadzkach sal balowych, a która została zakonnicą, ponieważ uświadomiła sobie, że różowa tafta jest marnością.

Jednak dziś wieczorem, obierając ziemniaki, Schwester Kasimira nie czuła się specjalnie wesołą, ponieważ usiłowała oprzeć się pokusie grzechu łakomstwa: to jest, aby szybko wsadzić ziemniak do ust i połknąć go na surowo. Wiedziała, że ziemniaków nie zabraknie, ponieważ zarówno Herr Major Mc Phimister i Fräulein Ober Leutnant Quail jedli obiad w mieście, a Herr Oberst obiadował samotnie i nie mógłby zapewne zjeść sam tych wszystkich ziemniaków, ale ziemniak był własnością armii brytyjskiej, a Schwester Kasimira wiedziała, że nie ma prawa jeść ziemniaków tejże armii, nawet chociaż się zgodziła pomagać kucharce w przygotowywaniu posiłków. Więc przypomniawszy sobie, że Pan Jezus poszcząc na pustyni, był prawdopodobnie o wiele głodniejszy, przysłuchiwała się śpiewowi pułkownika w łazience, chociaż obawiała się, że nie śpiewa on hymnów, ponieważ coraz to dochodziły ją słowa: „Ja piję gin, miła“.

Schwester Kasimira raczej lubiła pułkownika i zapach ciastek ponczowych, którym przesycony był jego oddech, co jej przypominało czasy, gdy była małą dziewczynką. Nigdy nie wiedziała, o czym z nim rozmawiać, ale lubiła sposób, w jaki uśmiechał się, mijając ją, gdy cała jego twarz marszczyła się i wyglądała dobrodusznie, a olbrzymie rude wąsy przypominały jej własnego ojca, który jednak nie był bardzo świątobliwym człowiekiem, przynajmniej w jej mniemaniu. Ale jeżeli nawet pułkownik nie był pobożny i, o ile się zdawało, nie chodził w ogóle do kościoła, była pewna, że nie uważa jej za głupią dlatego, że została zakonnicą, co, jak czasem, myślała było przekonaniem Herr Majora Mc. Phimister i Fräulein Quail. Odnosiło się wrażenie, że Matka Auxilia także lubi pułkownika, chociaż wydawało się, że zapach ciastek ponczowych mniej się jej podobał, ponieważ kiedyś na zapytanie Schwester Kasimiry, czy nie uważa go za przyjemny, odpowiedziała trochę cierpko: „Chyba zapach rumu, moja droga“ i wyszła, nie pobrzękując krzepiąco różańcem. W każdym razie pułkownik nie mógł być naprawdę bardzo niegodziwy, nawet chociaż był heretykiem, gdyż inaczej Wielebna Matka nie nalegałaby tak na wspólną modlitwę o jego nawrócenie. To podsunęło Siostrze myśl, że ona również może w tej chwili pomodlić się dodatkowo w tej samej intencji.

Chociaż Schwester Kasimira była zakonnicą, zawsze było jej trudno odmówić cały pacierz, nie myśląc o czym innym. Mimo największych starań nigdy nie mogła przemyśleć każdego zdania. Czasem żarliwość intencji przeszkadzała jej zastanawiać się nad słowami modlitwy, kiedy indziej zbyt znane wyrazy rodziły duchową ospałość, której się bardzo wstydziła, ponieważ wiedziała, że nawet sami święci nie mogliby wynaleźć lepszych słów. Obecnie obraz pułkownika nie pozwalał jej modlić się w odpowiedni sposób o jego nawrócenie, gdyż za każdym razem, kiedy usiłowała wypowiedzieć „Święć się Imię Twoje“ — nie myślała w ogóle o wielbieniu Boskiego Imienia, ale o tym, jak by wyglądał pułkownik, modląc się w kaplicy. To zupełnie jej nie dziwiło, ponieważ zawsze było jej trudno odmawiać różaniec, rozmyślając jednocześnie nad jego tajemnicami, chociaż wiedziała, że św. Dominik na pewno to potrafi, ponieważ Matka Boska objawiła mu tę modlitwę. Za piątym razem udało się jej wymówić prośbę, uświadamiając sobie jednocześnie jej znaczenie i właśnie zaczynała niepewnie „Przyjdź Królestwo Twoje“, kiedy, spojrzawszy, zauważyła, że pułkownik stoi koło niej i uśmiecha się, lecz nie wygląda tak, jakby się miał nawrócić, ponieważ trzyma w ręce szklankę, napełnioną blado-żółtym napojem.

„Guten Abend“, Schwester Kasimira“ — przywitał ją pułkownik — „Jak widzę zawsze przy pracy?“

„Il le faut bien, mon colonel“— odrzekła po francusku Schwester Kasimira, wiedząc, że pułkownik w istocie nie mówi po niemiecku, jakkolwiek płynnie mógł zagaić rozmowę „Guten Abend“.

Stali oboje, uśmiechając się do siebie niemądrze, nie wiedząc, co powiedzieć. Zakonnica widziała szorstką, nieogoloną twarz, jedną z tego rodzaju, które nauczono ją uważać za bardzo światowe, pułkownik zaś widział parę lękliwych brunatnych oczu, osadzonych głęboko nad bladą wypukłością bezbarwnych policzków. Przez uśmiechy starali się dać wyraz swej sympatii, której nie mogli ujawnić w słowach, ponieważ każde z nich wiedziało, że myślami drugiego rządzi inny system, wypowiadający się odmiennie. Za pomocą uśmiechu pułkownik starał się powiedzieć, że żołnierze nie są tak niegodziwi, jak zakonnice mogłyby przypuszczać, zakonnica zaś przez swój uśmiech starała się wytłumaczyć pułkownikowi, że pobożność nie jest tak nudna, jak to sobie wyobrażają żołnierze i że odwaga, a nie tchórzostwo nakłaniała ludzi do wyrzeczenia się świata i podążania za Bogiem. Żadne, oczywiście, nie potrafiło wyrazić tego tak dokładnie, jednak zdawali sobie sprawę z wzajemnej szczerości, a porozumienie ich ułatwiał jeszcze piękny wieczór; przechodzący za oknem w czerń nocy.

„Mam nadzieję, że ani ja, ani moi oficerowie nie sprawiamy siostrom kłopotu“ — odezwał się wreszcie pułkownik.

„Proszę mi wierzyć, pułkowniku, że z przyjemnością gościmy państwa tutaj“ — odpowiedziała Schwester Kasimira.

„Jak to miło ze strony siostry tłumaczyć w ten sposób konieczność wojenną“ — zauważył pułkownik.

„Ale przecież wojna skończyła się. Czyż nie tak, pułkowniku?“— wtrąciła Schwester Kasimira.

„Wojna skończyła się, siostro, ale konieczności wojenne trwają“ — odparł pułkownik, uświadamiając sobie jednocześnie, że byłoby szaleństwem usiłować wytłumaczyć zakonnicy układ światowych stosunków. Jak bowiem zajęta sprawami wieczności zakonnica mogła zrozumieć związki historyczne i jak on sam mógłby stać tutaj, rozmawiając z nią dzisiaj, gdyby Richelieu był kapłanem innego pokroju, a Karol Marx nie napisał swego dzieła? Jak inaczej mogła ona zrozumieć wywrotową działalność, niż jako grzech przeciw Bogu, starych rozpustników, pijących szampana z atłasowych balowych pantofelków.. Jak mogła ona zrozumieć Brygadiera Catlock'a i politykę Rządu Jego Królewkiej Mości? Nagle zauważył jej ręce, nabrzęknięte i stwardniałe z czarnymi kreseczkami w miejscach załamań i pod paznokciami i nagle poczuł się upokorzonym i zawstydzonym, że jest stroną zwycięską w wojnie, podczas gdy ona należała do strony przegranej. „Proszę mi pozwolić“ — powiedział, patrząc na wilgotny nóż, którym obierała ziemniaki.

„Ależ, pułkowniku — zaprotestowała Schwester Kasimira — “w żadnym wypadku nie spodobałoby się to Wielebnej Matce“.

„Proszę mi pozostawić Wielebną Matkę“ — powiedział pułkownik, biorąc od zakonnicy nóż i ziemniak i mając nadzieję, że nie zauważy ona, że stara się wykonać jedną ręką to, co ona czyniła obiema. — „Umiem sobie radzić z wielebnymi matkami, przynajmniej tak sądzę. Pomimo wszystko. wielebne matki nie mogą się bardzo różnić od starszych sierżantów, a już od przeszło 20 lat nie boję się tych ostatnich. Oficer wtedy zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, że jest oficerem, kiedy nie boi się dłużej starszego sierżanta“. Wnioskując z poważnego wyrazu jej oczu, że nie zrozumiała żartu, próbował zabawić ją, mówiąc swą okropną niemczyzną. „Ich kann auch die Kleider von der Kartoffeln abnehmen. Eplucher les pommes de terre, compris? I w każdym wypadku mój ordynans powinien Siostrze pomóc“.

„Ale pana ordynus poszedł do kina“ — zauważyła Schwester Kasimira.

Pułkownik uśmiechnął się lekko z „ordynusa“, a następnie, widząc, że siostra jeszcze patrzy na niego ze smutnym zakłopotaniem, zapytał, czy nie miała jakich krewnych, walczących na wojnie.

„Mój brat był podpułkownikiem niemieckiej piechoty“ — odpowiedziała. Walczył w Rosji i od przeszło dwóch lat nie mamy od niego żadnych wiadomości. Jeżeli dostał się do niewoli — spodziewam się, że wróci, a jeżeli nie żyje, mam nadzieję, że zginął dzielnie, ale boję się trochę o niego, ponieważ bardzo lubił ziemskie przyjemności, lecz może Bóg zmiłował się w końcu nad nim“. Spojrzała na pułkownika z nieśmiałą prośbą. „Niech pan się ze mnie nie śmieje. Bóg musi mieć wielkie znaczenie dla ludzi, kiedy leżą w śniegu, krwawiąc śmiertelnie. Nic nie pomoże wspominanie śmiechu przyjaciół i szczęku szklanek, kiedy się jest samotnym po raz ostatni wraz ze swym bólem i ostateczną wiedzą o celu życia“.

„Proszę mi wierzyć, że jestem daleki od śmiania się z siostry“— odrzekł pułkownik, ze wzruszenia mozoląc się niezdarnie nad ziemniakiem i upuszczając go na podłogę. „Do cholery z tym przeklętym kartoflem“ — prawie powiedział, ale powstrzymał się w porę i zamiast tego rozmyślał przez chwilę w milczeniu nad niegodnymi słowami, które o mało co nie zbrukały jego ust.

Śmierć, nawet śmierć nieprzyjaciela, zawsze sprawiała mu udrękę i martwił go widok Schwester Kasimiry, która z pobladłą twarzą rozmyślała teraz o swym bracie. Gdyby tylko — marzył—wszyscy porządni faceci, z całego świata mogli się zebrać razem i zabić wszystkie podłe świnie, lecz nie spodziewał się, by takie rozwiązanie odpowiadało Schwester Kasimirze, która wolałaby, by porządni faceci modlili się za nikczemne świnie w nadziei, że pewnego dnia ujrzą one Graal.

„Ależ pańskie biedne ramię, pułkowniku“ — zawołała Schwester Kasimira, zwracając po raz pierwszy uwagę na manipulacje, które pułkownik musiał wykonywać, aby obrać ziemniak jedną ręką. — „Proszę mi darować, nie zdawałem sobie sprawy“. — Patrzyła na niego wielkimi, pełnymi litości oczyma, a współczucie rozjaśniało jej bladą, pospolitą twarz i czyniło ją piękną. „Proszę mi także przebaczyć, jeżeli powiedziałam coś, czego nie powinnam była powiedzieć. Widzi pan, nie wiem, co żołnierze czują w takich wypadkach“.

„Żołnierze nic w ogóle nie czują w takich wypadkach“ — zaczął pułkownik i nagle zdał sobie sprawę, że stwierdzenie to nie było zupełnie prawdziwe i że byłoby nieuczciwością z jego strony starać się pozyskać podziw zakonnicy, udając dzielniejszego, niż był w istocie. Przynajmniej uczą się nie odczuwać tego, ponieważ przyzwyczajają się do straty kończyn, jak do straty czegokolwiek innego. Przykro jest na początku, kiedy się uważa swą stratę za tragedię“. Prawie powiedział „... kiedy się zastanawia, czy dziewczęta będą nas jeszcze kochać“, ale zdecydował, że zakonnica nie zrozumiałaby tego i że nie lubiłby jej tak bardzo, gdyby zrozumiała. Namyślając się, co dalej powiedzieć, przypomniał sobie swą ostatnią bytność w Roehampton gdzie przyjechał naprawić protezę, którą rzadko kiedy nosił. Było tam pełno świeżo okaleczonych młodych chłopców bez rąk i bez nóg, kuśtykających bezimiennych bohaterów z nagłówków gazet i stwierdził, że łatwiej mu żałować ich, niż siebie. Pochlebiła mu gotowość, z jaką słuchali go, gdy ośmielił się udzielać im przestarzałych rad i wyraził nadzieję, że dziewczęta będą dla nich tak samo miłe, jak przedtem, a potentaci finansowi za maską gładkich, beztroskich twarzy zrozumieją, że ci chłopcy odnieśli rany w dniu Crispina. „Człowiek przyzwyczaja się w końcu do wszystkiego“ — powiedział, pragnąc wymyślić coś mniej banalnego.

Być może jest to tragedią ogólną — odezwała się Schwester Kasimira. — Człowiek przyzwyczaja się nawet do Łaski Uświęcającej, przecież potrzeba nam codzien nie nowych nawróceń, świeżego jasnego światła wewnątrz nas, byśmy pragnęli oświetlić tym ożywczym blaskiem innych ludzi. Być może o tym myślał nasz Pan, mówiąc, że więcej jest radości w niebie z jednego nawróconego grzesznika, niż z tych wszystkich, którzy zachowują Jego przykazania. Być może dlatego tak samo wynagradza się robotników, którzy przyszli do winnicy koło południa, jak tych, którzy mozolili się w całodziennym upale i znoju, ponieważ w duszach ich jest zapał“. Podmuch wiatru wpadł przez okno i schwycił welon zakonnicy, wydymając go na chwilę w czarny żagiel, spiętrzony nad jej poważną twarzą. „Ale może panu jest trochę trudno zrozumieć moje słowa?“ — zapytała.

Pułkownikowi spodobał się sposób, w jaki zakonnica powiedziała „nasz Pan“. Ton, jakim to wymówiła, kazał mu się zastanowić, czy jego świecki tryb życia w ciągu ostatnich 30 lat był tak właściwy, jak to sobie wyobrażał. Nie dalej, jak wczoraj po południu słuchał, jak Brygadier Catlock wrzeszczał w słuchawkę telefoniczną: „Rany Boskie, Bill, Chłopie, musisz zostać i pomóc mi urządzić herbatkę dla tych suk z UNRR-a“. Jaki wyraz miałyby oczy Schwester Kasimiry, gdyby usłyszała podobną uwagę. Prawdopodobnie modliłaby się z tego powodu przez dwa tygodnie. „Wydaje mi się, że rozumiem“ — powiedział. — „Podobnie dzieje się w wojsku. Jednego dnia jest się dumnym z tego, że się zostało żołnierzem, wie siostra, że się służy idei itp. A później staje się naprzeciw kupców kolonialnych w mundurach, facetów, którzy usiłują się wywindować na brygadierów i generałów i już się nie jest tak dumnym“. Zatrzymał się, ponieważ zdał sobie sprawę, że w jego słowach nie było żadnej analogii. „Inaczej mówiąc — zakoń-

Sp. wyd. „Pax“, Inst. Wyd.
wysyła
G. BERNANOS
POD SŁOŃCEM SZATANA
cena 950 zł
B. MARSHALL
CHWAŁA CÓRY KRÓLEWSKIEJ
cena 750 zł
TEKĘ DRZEWORYTÓW „OJCZE NASZ“ K. WRÓBLEWSKIEJ
cena 1200 zł
Po wpłacie na KONTO PKO I-8515
SP. WYD. „PAX“ INST. WYD.

czył — staram się być przyzwoitym".

„Jestem pewna, że pan to robi i będę się modlić za pana" — zapewniła Schwester Kasimira. — „To jest druga troska naszych czasów. Ludzie nie tylko, że nie starają się być uczciwymi, ale nawet nie usiłują się starać i to jest prawdziwe źródło grzechów".

Pułkownik wiedział, że zakonnica jeszcze raz zabiła mu klina do głowy. Bezmyślni chłopcy, którzy wyobrażali sobie, że teraz, kiedy wojna się skończyła, nie ma żadnej potrzeby dalszego wysiłku, żołnierze, którzy bezczelnie paradowali obok oficerów, nie salutując ich, ważne osobistości, prawiące kwieciste frazesy, w które sami nie wierzyli w głębi swych otłuszczonych serc, idioci i łotrzy, stawiający raczej na teraźniejszość, niż na przyszłość, kibice przy stolikach karcianych i miłośnicy wyścigów, wszyscy oni nie usiłowali próbować żyć uczciwie, ponieważ myśleli, że nikt inny również tego nie czyni. Oczywiście, ta zaraza trapiła świat zawsze, ale teraz była o wiele niebezpieczniejsza, niż w czasach Karola II, kiedy dziewiętnastoletni chłopcy nie mogli niszczyć katedr przez naciskanie guzików. Spokojny wieczór za oknem był złudzeniem. Dopóki nie pojawi się prorok, klęska groziła światu. Przez krótką chwilę był prawie zdecydowany zostać samemu prorokiem, a usilność tego pragnienia sprawiła, że drugi ziemniak spadł na ziemię.

„Naprawdę, muszę nalegać, bym sama wykonywała swą pracę" — odezwała się zakonnica. „Jeśli pan nie będzie uważać, to się pan skaleczy".

„A jeżeli ustąpię, to czy siostra zechce zjeść ze mną obiad? — Zapytał pułkownik, zarówno dlatego, że czuł się samotnym i ponieważ sądził, że dobrze będzie, jeżeli Schwester Kasimira choć raz zje jakiś przyzwoity posiłek. — „Może zechce też przyjść Wielebna Matka". Możemy też poprosić Schwester Michaelę. Przecież wszyscy wyszli i jest masa jedzenia".

„To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, ale obawiam się, że muszę odmówić — odpowiedziała zakonnica, odbierając mu nóż, — „Widzi pan, wydaje mi się, że nasza świątobliwa założycielka, św. Walburga z Grazu, nie sprobowałaby tego. Była ona bardzo pobożną kobietą" — wyjaśniała dalej, widząc, że pułkownik nie rozumie. — „Jedną z jej zasad było nie pozwalać swym duchowym córkom pod żadnym pozorem posilać się w towarzystwie nie-członków religijnej wspólnoty, chyba że były to inne zakonnice, zwiedzające jeden z naszych klasztorów. Tę regułę sama wprowadziła, kiedy poleciała do Rzymu w r. 1585 poinformować papieża, Sykstusa V-go, że według jej zdania tylko ostra wewnętrzna reforma Kościoła zdoła zapobiec dalszej schizmie w Europie. Papież zaprosił ją na kolację, ale odmówiła, tłumacząc, że — ponieważ w Watykanie nie ma innych członkiń z jej wspólnoty religijnej — powinna posilać się samotnie".

„Poleciała do Rzymu?" — zapytał pułkownik. — „W roku 1585?"

„Nasza święta założycielka została uniesiona w powietrze na anielskich skrzydłach" — wyjaśniła po prostu Schwester Kasimira. Był to jeden z cudów, których autentyczność została stwierdzona przy jej kanonizacji w roku 1707. Były oczywiście i inne. Na przykład, tak bardzo była przepełniona Duchem Św. i był On w stanie takiego wrzenia, że często w czasie odprawiania Mszy św. unosiła się nad ziemię. Zdarzało się to najczęściej wówczas kła przy ołtarzu, aby przyjąć Komunię świętą, tak, że kilkakrotnie celebrans musiał wspinać się na drabinę, by złożyć na jej języku Przenajświętszą Hostię".

„Widzę dobrze, że pułkownik nie wierzy w możliwość cudów". Obejrzawszy się Schwester Kasimira i pułkownik zobaczyli Wielebną Matkę Auxilię, która weszła do spiżarni i stała za nimi z rękami złożonymi pod szkaplerzem, utrzymując równowagę dzięki szerokiej, jak krynolina, czarnej szacie zakonnej. Gdyż Wielebna Matka nie miała nóg i nie potrzebowała ich, podobnie jak jej świątobliwa poprzedniczka, św. Walburga z Grazu, co wyraźnie zauważyły członkinie jej społeczności religijnej w latach 1583, 1584 i 1587, gdy podczas modłów unosiła się nad ziemią. „Herr Oberst oczywiście należy do tej szkoły myślenia, która zaprzecza, że Stwórca ma pełną władzę nad swym stworzeniem i wyobraża sobie, że wszelkie przejawy Jego potęgi muszą mieć miejsce w granicach praw, które sam stworzył".

„Obawiam się, że Wielebna Matka wyrządza mi krzywdę" — sprostował pułkownik. — „W rzeczywistości, w ogóle nie należę do żadnej szkoły myślenia".

„Tak właśnie sądziłem, Herr Oberst" — odrzekła Wielebna Matka.

Po czym nie pozostawało pułkownikowi nic innego, jak zabrać niedokończoną whisky and soda i wyślizgnąć się ukradkiem ze spiżarni z poczuciem winy.

tłum. Andrea Tonchu Ru.

Humor staropolski

(Z rękopisów w. XVII – XIX)

NIE ROZŁĄCZAJ, CO BÓG ZŁĄCZYŁ.

Raz gdzieś tam małżeńskie stadło
Z pięściami na się napadło,
I porwawszy się za włosy,
Odgryzało sobie nosy.
Rzekł ktoś: „trzeba walkę skończyć,
I bijących się rozłączyć". —
Wtem ktoś drugi, gdy ów skończył:
„Nie mięszaj się w to nieboże!
Pomnij, że co Pan Bóg złączył,
Człowiek rozłączyć nie może".

(Ignacy Piotr Legatowicz).

O DZIEWICACH.

Dziewicy strojnej do włosów
Brak w ustach i w ręku ciosów;
Ale niech drży Boski zlepek,
Kiedy ta już włoży czepek.

(Ignacy Piotr Legatowicz).

ODPOWIEDŹ CHŁOPCA.

Lampy świecą się jak gwiazdy;
Widać na dworze pojazdy,
Przy dźwięku hucznej muzyki
Słychać wesołe okrzyki;
W pałacu radość się szerzy,
I dają ognia z moździerzy.
„Z jakiej te gody przyczyny?
Czy to pańskie imieniny?
Czy może jakie wesele?
Dlaczego gości tak wiele?
Chłopie! co za bal we dworze?"
„Nie wiem, odpowie w pokorze
Chłop odarty i wybladły. —
U nas codzień te kiermasze, —
Pewnie piją zdrowie nasze".

(Ignacy Piotr Legatowicz).

NA DOKTORA.

Dziw! doktór księdzem. — Czegóż się dziwować?
Tyle ludzi pomorzył, trzeba ich pochować.

(Józef Massalski).

WZMIANKA O JUDASZU.

Pan nasz skarbnik choć lubi pieniądze bez miary,
I rozmaite zawsze przedaje towary,
Na wzmiankę się Judasza jednak zaltretował:
„Jabym, prawi, nierównie więcej wytargował".

(Nikodem Muśnicki).

POLITOWANIE NAD POTOPEM.

Mój krajczy o potopie gdy słyszał kazanie,
Niezwykłe was mu gęsty poddęło wzdychanie,
Pomogłem mu nabożnych affektów: O smutne,
Rzeknę, czasy, gdy deszcze lały tak okrutne!
— Tak jest, odpowie krajczy, o nędzne narody!
Wina jeszcze nie było, a tak wiele wody.

(Nikodem Muśnicki).

SPRAWA UBOGA.

Płacząc szła sprawa
Pod opiekę prawa.
Spotkał ją patron, a widząc w nędzy,
Umknął czemprędzej.

(Kantorbery Tymowski).

NA POMNIK NA MOGIŁACH.

Któż ten głaz kolosalny na grobie położył?
Żona, bo się obawia, aby mąż nie ożył.

(T. Żebrowski).

DO ZŁEGO POETY.

W wiośnie o swych wierszach myśli,
W lecie je na papier wali;
W jesieni poprawia, kreśli,
W zimie niemi w piecu pali.

(Matuszewski).

DOBRA RADA.

Z przodu strzeż się kobiety,
Z boku unikaj karety;
Z tyłu konia nie dotykaj,
Wszędzie przed głupim umykaj.

BISKUP I CHŁOP.

Gdy dnia jednego biskup swój lud błogosławił,
Przytomny chłop kapelusz na głowie zostawił.
Wtem biskup rozgniewany gani to chłopowi;
Chłop zaś mu odpowiada: „Nic to nie stanowi,
Jeśli błogosławieństwo z dobrych rąk pochodzi,
Przez mój kapelusz przejdzie, nic on nie przeszkodzi".

(Matuszewski).

FRASZKI I EPIGRAMATA

Ignacego Szydłowskiego.

DIABEŁ NIEMOWA.

Pewny dewot w czytaniu ksiąg bożego słowa,
Znalazł, że w kimś wcielony był djabeł niemowa
Zdumiewa się nabożniś... pojąć się nie może...
Wreszcie w zapale serca zawoła: O Boże!
Kiedy niemy szatan swoją małżonkę opęta,
Niech go na zawsze więzi w niej Twoja wola Święta.

ŁAKOMCA NAWRÓCONY.

„Ojcze wielebny, dziś najmocniej czuję,
Rzekł kaznodziei łakomca w niedzielę,
Jak grzesznikowi słowo boże wiele
Dusznej korzyści zdolne jest przynosić:
Nic nad jałmużnę w świecie nie znajduję,
I postanawiam odtąd... o nią prosić".

DŁUŻNIK I WIERZYCIEL.

Postrzegłszy Marek, że bliski konania
Piotr, który winien był mu złotych dwieście,
Ofuknie z gniewem: „Dosyć odwlekania!
Zapłać mi moje pieniądze nareszcie!..."
„Ach!... przyjacielu, miej stan mój na względzie.
(Rzekł konający), — Boga się nie boisz...
Pozwól mi umrzeć...„. „Nic z tego nie będzie,
Nie umrzesz pierwej, aż dług zaspokoisz".

NAPIS GROBOWY ŻONIE.

Przyjm luba moja połowo!
Na dowód przyjaznych chęci,
Przyjm tę pamiątkę grobową,
Którą ci małżonek święci.
Ah!... ostateczny moment twego tchnienia,
Pierwszy mojego był... uszczęśliwienia.

NĘDZA JOBA.

Kiedy djabeł wziął niegdyś Joba na swą próbę,
Wydarł mu dzieci, zdrowie i całą chudobę:
Lecz by go sroższej nędzy i próbie wystawił,
Czyliż wiecie co zrobił? — Żonę mu zostawił.

Podał do druku **B. M. Długoszewski**

List z Wybrzeża

Włodzimierz Wnuk

ZAKOCHANY BURMISTRZ

Jest w powiecie gdańskim, na Żuławach, „miasto niebardzo podłe" — Nowy Dwór. Żyłoby sobie ono w świętym spokoju, gdyby w czerwcu roku 1949 nie zjawił się na jego horyzoncie pewien młody człowiek w kolejarskim mundurze. Z warsztatów kolejowych na Trojanie w Gdańsku, gdzie pracował, poszedł pewnego wiosennego dnia do Nowego Dworu. Na burmistrza. Na włodarzowanie miastu, które piło na umór, wysuwając się w współzawodnictwie pijackim na pierwsze miejsce na Wybrzeżu. A pili zacni Nowodworzanie nie byle gdzie. bo w okazałym gmachu poteatralnym (NSDAP zbudowała tu w czasie wojny wielki teatr propagandowy połączony z domem wypoczynkowym dla żołnierzy SS i Wehrmachtu) urządzając sobie w opustoszałym i niszczejącym budynku huczne zabawy, rujnujące do reszty świecący pustymi oknami, zapomniany dom.

Może nawet i nie zapomniany. Tylko, że w pierwszych latach powojennych na Żuławach było straszliwe wiele do roboty: wszystkie siły skierowano tu na ratowanie najżyźniejszej ziemi w Polsce, na odwodnienie i osuszenie słynnych madów żuławskich, owej wspaniałej gleby przymorskiej zalanej wodą na skutek zniszczenia systemu ka-

nałów. Pamiętamy na Wybrzeżu wszyscy fantastyczny i tragiczny zarazem step trzcin i chwastów, który wyrósł na Żuławach, na tych Żuławach, o których Schumacher wołał jeszcze rok temu przez radio, że „nawet i za sto lat nie podniosą się gospodarczo". Tymczasem już dziś Żuławy są osuszone, zaorane i zasiane! Stało się to dzięki niezwykłym wysiłkom naszych władz i społeczeństwa wybrzeżowego, dzięki powszechnej „mobilizacji żuławskiej", w czasie której trudno zaiste było myśleć o nowodworskim gmachu. Ale i na to przyszedł czas. Widząc, że w Nowym Dworze nie dzieje się dobrze, skierowano tam z Gdańska robotnika kolejarskiego, Włodzimierza Żejmotela, który — jak sam wyznaje — ani się spostrzegł, kiedy został ojcem żuławskiej mieściny. Wiedział Gdańsk dobrze, komu to ojcostwo powierza...

Nowy burmistrz zapatrzył się w niszczejący, opustoszały teatr nowodworski. Przemierzając krokami jego ogromną, pokrytą kurzem i gruzem salę, oglądając najbardziej nowoczesne urządzenia sceniczne, przypatrując się potężnym organom w znacznej mierze już rozszabrowanym, zwiedzając dziesiątki pokoi napół zdewastowanych — pojął swoje powołanie. Niewiele się namyślając zabrał się do roboty. Przede wszystkim zabezpieczył to, co jeszcze w teatrze zostało. Zabronił odbywania zabaw, a potem, na usilne prośby Nowodworzan zezwolił, ale pod warunkiem, że po każdym balu sala będzie lepiej wyglądała niż przed tym. Roztoczył nadzór nad gmachem, z którego ciągle jeszcze wynoszono meble i urządzenie; żeby położyć temu kres burmistrz sam niekiedy dozorował w nocy przy teatrze. Pewnego razu — a noc była ciemna choć oko wykol — przyłapał jakiegoś człeka taskającego z wnętrza część cennego bufetu teatralnego. Ojciec miasta złapał za kij i wymierzył z niego w szabrownika, który padł na kolana błagając o darowanie życia. Burmistrz mu je „darował" i nawet obiecał puścić to w niepamięć, ale pod warunkiem, że ułaskawiony sam teraz będzie pilnował teatru. „No i niejednego szabrownika złapał potem przy „robocie" — śmiał się sympatyczny kolejarz.

Burmistrz nie tylko zabezpieczył sam gmach teatru, ale i ściągnął na miejsce przeznaczenia te wszystkie meble i urządzenia, które „przeniosły się" z teatru na skrzydłach inicjatywy prywatnej. Obszedł po prostu miejscowe domy, radząc domownikom po dobroci zwrócić teatrowi to, co zwrócić należało. W ten sposób przyfrunęło na swoje miejsce m. in. 125 krzeseł teatralnych, które nam Żejmotel z niejaką dumą pokazywał. Ale z prawdziwą dopiero satysfakcją mówił nam o piszczałkach. Kiedy burmistrz stwierdził, iż organom teatralnym brak pokaźnej ilości piszczałek, rozpoczął je szukać w bliższej i dalszej okolicy, z właściwą sobie wytrwałością i pomysłowością; nie małą pomoc okazały tu... dzieci, które przekupione cukierkami (wybaczcie burmistrzowi te łapóweczki) spenetrowały teren przynosząc bogate łupy. W rezultacie tej akcji wróciło na łono organów piszczałek 1.200, słownie: tysiąc dwieście! W jedną z nich dmuchnął Żejmotel w naszej obecności: grała pięknie.

Oczywiście, własnymi siłami burmistrz teatru by nie odbudował. Zmobilizował do tego dzieła cały Nowy Dwór, zagrzewając wszystkie miejscowe organizacje polityczne i społeczne do współzawodnictwa w dźwiganiu gmachu z ruin, w budowaniu i urządzaniu domu, jakim Żuławy będą promieniować na cały kraj. Po godzinach pracy zawodowej przychodzili Nowodworzanie i każdy dawał z siebie co mógł. Wspólnym wysiłkiem dokonali m. in. rzeczy niemałej: wypompowali wodę podskórną z podziemi gmachu i wyremontowali kotłownię. A nad tym wszystkim czuwał nieustannie burmistrz, który każdą wolną chwilę spędzał w teatrze, przy robocie. Zaniepokoiło to wreszcie jego żonę, która zaczęła podejrzewać męża o schadzki w pełnej pokoi, pokoików, kątów, zakamarków, budowli (istotnie idealne miejsce po temu — stwierdziliśmy wszyscy jednomyślnie) i nawet przyszła raz sprawdzić, co i jak... „Z trudem kobiecie wytłumaczyłem — opowiadał — że owszem, kocham się, ale w tym teatrze".

Ludzie chcą wiedzieć, po co pracują. Idea pięknego gmachu nie wystarcza, trzeba wiedzieć jeszcze, co w tym gmachu będzie, czemu i komu on będzie służyć. Żejmotel mówił im nieraz o wspaniałym Domu Kultury, który wyrośnie w tych ścianach, a który nie będzie miał równego sobie w Polsce. Ale słowa nie wystarczą. Burmistrz wpada na genialną myśl. Jedzie do dalekiego Olsztyna (zna go dobrze, pracował tam po wojnie) i osobiście zaprasza Solskiego, który właśnie w tamtejszym teatrze występuje, aby przyjechał z „Panem Jowialskim" do Nowego Dworu. Solski przyjechał! W napół wyremontowanej sali — jednej z największych w kraju — trzy tysiące ludzi, zgromadzonych z miasta i najbliższych Żuław, z zapartym oddechem i otwartymi ustami śledzi przez bite 3 godziny stuletniego nieomal mistrza sceny polskiej w „Panu Jowialskim". Solski patrzy na trzy tysiące żuławskich chłopów i robotników — i płacze..

Nowodworzan nie trzeba już teraz zagrzewać do odbudowy gmachu. Robota posuwa się szybko naprzód. Żuławskiej mieścinie przychodzi z pomocą finansową Ministerstwo Kultury i Sztuki, które przeznacza na ten cel pokaźne fundusze. Ale ważniejszą bodaj jest pomoc moralna, jaką Ministerstwo okazuje Nowemu Dworowi postanawiając, że właśnie tu na Żuławach powstanie pierwszy w Polsce wzorcowy Dom Kultury. Że właśnie wsi żuławskiej, która dokonała tak wielkich wysiłków w odbudowie gospodarki rolnej, przypadnie w udziale zaszczyt posiadania pierwszego z tych domów. W ramach planu sześcioletniego ma powstać w Polsce 1200 Domów Kultury — pierwsze „oczko" w tej olbrzymiej sieci stworzyli żuławscy chłopi i robotnicy ze swoim — prawdziwie swoim — burmistrzem na czele.

Otwarcie Domu Kultury w Nowym Dworze wyznaczono na dzień 19 lutego 1950 r. Przez ostatnie trzy tygodnie nowodworzanie harowali jak mogli, byle tylko gmach był gotów. Jednocześnie wrzała praca nad przygotowaniem miejscowych amatorskich zespołów artystycznych do występów, obradowała w gorączkowym nastroju Rada Społeczna Domu złożona z przedstawicieli nowodworskiego społeczeństwa, a odpowiedzialna za całość spraw „domowych". A to wszystko działo się pod czujną i troskliwą opieką Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Gdańsku, którego naczelnik, Helena Kamińska, przeniosła się na ten czas duchem i ciałem na zapadłą, jak się to mówi, prowincję żuławską.

Nadszedł wreszcie 19 luty. Do Nowego Dworu zjechały tłumy Żuławiaków i gości z pobliskiego Gdańska, w pięknej, bogato iluminowanej sali teatralnej Domu Kultury zmieściło się ponad 3 tysiące ludzi. Ze ścian i balkonów zwisają długie flagi, czerwone i zielone. Otwarcia dokonuje minister Kultury i Sztuki, Stefan Dybowski, zwracając uwagę w swoim przemówieniu na ważną rolę, jaką ta placówka ma do odegrania w aktywizacji kulturalnej wsi żuławskiej. „Życzę społeczeństwu Nowego Dworu — kończy minister — aby ten Dom Kultury tętnił życiem od rana do wieczora, ażeby każdego dnia był tak wypełniony jak dzisiaj, ażeby ten dom promieniował na całą okolicę, na całe Żuławy. Zda wtedy egzamin koncepcja domów kultury i zda egzamin społeczeństwo Nowego Dworu".

Dom Kultury — o jakim marzy niejedno z większych naszych miast — został zatem na Żuławach Gdańskich otwarty. Została powołana do życia placówka, która imponować musi nie tylko wspaniałym swoim wyglądem zewnętrznym i urządzeniem, ale przede wszystkim swoją treścią wewnętrzną, swoją służbą, o której warto parę słów powiedzieć. Pierwszy wzorcowy Dom Kultury w Polsce obejmuje swoim zasięgiem ponad 30 świetlic istniejących przy żuławskich spółdzielniach produkcyjnych, PGR-ach, fabrykach itp. w promieniu 15 kilometrów — wszystkie te świetlice będą miały swoje ognisko w nowodworskim „dworze", gdzie znajdą pomieszczenie poradnie świetlicowe, ośrodki samokształceniowe, biblioteki: gminna miejska i „domowa" (licząca w chwili otwarcia 1200 tomów), gdzie odbywać się będą kursy repolonizacyjne, dla analfabetów itd. Dom ten jednocześnie stanowi centrum szkolenia artystycznego na Żuławach: odbywać się ono będzie w czterech ogniskach kultury artystycznej, w ognisku plastycznym, teatralnym, literackim i choreograficznym. Ogniska te są prowadzone przez wybitne siły artystyczne opłacane przez Min. Kultury i Sztuki. Jako pierwsze zostało uruchomione jeszcze przed otwarciem Domu, ognisko choreograficzne kierowane przez b. primaballerinę Opery Warszawskiej, Olgę Sławską. Trzeba było widzieć nowodworskie dziewczynki tańczące pod jej wprawną ręką krakowiaka i kujawiaka. Przewiduje się również utworzenie objazdowego teatru kukiełek, który z Nowego Dworu ruszy w teren na zdobycie dziecięcych serduszek.

Kiedy 19 lutego br. otwierano uroczyście Dom Kultury na odzyskanej ziemi żuławskiej, kiedy na sce-

nie wspaniałej sali teatralnej, wypełnionej 3-tysięczną rzeszą robotniczo-chłopską, przewijało się kolejno kilkanaście najlepszych zespołów artystycznych woj. gdańskiego — myślałem wtedy o pewnym skromnym kolejarzu, za którego sprawą wyrósł na pohitlerowskich ruinach pałac kultury polskiej.

Włodzimierz Wnuk

NA ZAMÓWIENIA KIEROWANE DO ADMINISTRACJI „DZIŚ i JUTRO" SP WYD. „PAX" WYSYŁA POWIEŚĆ BRUCE MARSHALL CHWAŁA CÓRY KRÓLEWSKIEJ PROSIMY O WPŁATĘ ZŁOTYCH 750 za EGZ. NA KONTO PKO I-8515 LUB PRZEKAZEM POCZTOWYM

Artur Hutnikiewicz

HUGO

MŁODOŚĆ I LATA STUDIÓW

Pochodził Kołłątaj ze szlachty kresowej, osiadłej po przeniesieniu się ze Smoleńszczyzny na Wołyniu, a mającej też skromne posiadłości w Sandomierskim. Urodził się 1 kwietnia r. 1750 w Dederkałach w pow. krzemienieckim, jako syn Antoniego, podstolego mścisławskiego i Marianny z Mierzyńskich. Już jako dziecko objawiał zalety tak wyróżniające go potem na tle szlacheckiego ogółu: umysł miał jasny, trzeźwy, skłonny do ścisłego myślenia i rozumowania. Po ukończeniu szkół średnich w Pińczowie, w 16 roku życia wstępuje do Akademii Krakowskiej. Studiuje filozofię i teologię. Wybór zawodu duchownego nie płynął zapewne z jakiejś głębszej skłonności czy powołania, był jedyną drogą wybicia się i uniezależnienia dla młodzieńca pochodzącego co prawda z rodziny używającej tytułu hrabiowskiego, ale zubożałej i nie mogącej zaspokoić jego ambicji i aspiracji. Po ukończeniu Akademii, która w ówczesnym stanie nie wiele dać mu mogła, wiedziony żądzą wiedzy wyjeżdża Kołłątaj za granicę. Studiuje najpierw przez krótki czas w Wiedniu, a potem przenosi się do Włoch, do Rzymu, gdzie po pięcioletnich, gruntownych naukach zdobywa dwa doktoraty: teologii i obojga praw. Kiedy w roku 1775 wracał do kraju, osobowość jego była już w zasadzie uformowana, wiedział, czego chce, i był zdecydowany realizować swe cele życiowe mimo wszystkich ewentualnych przeszkód. Musiał się wyróżniać na tle ówczesnej masy szlacheckiej ów młody ksiądz o potężnym, chłodnym umyśle, wszechstronnie wykształcony, przestrzegający obowiązków swego stanu ale daleki od gorliwości, czuły na dobra materialne i pełen potężnych ambicji politycznych, statysta raczej rozmiłowany w intrygach i grze politycznej, niż pokorny sługa Boży. Jeszcze po wielu latach, na schyłku życia, kiedy z dawnego Kołłątaja zostanie już tylko ruina, niechętny mu Niemcewicz ujrzy w postawie i w spojrzeniu schorowanego starca widmo Richelieu'go.

REFORMATOR AKADEMII

Pierwszym publicznym wystąpieniem Kołłątaja po powrocie do kraju i zapewnieniu sobie niezależności ekonomicznej na kanonii krakowskiej, była reforma Akademii. Obrotny, energiczny, żądny działania zjawił się bardzo szybko w Warszawie i tu zdołał dotrzeć po niedługich staraniach do wpływowych osobistości rządu. Przedstawiony królowi umiał okazać walory swego umysłu i charakteru, dać do zrozumienia, że jego energia i zdolności powinny być odpowiednio spożytkowane, że jego współpraca może być w pewnych wypadkach bardzo korzystna, a nawet nieodzowna. Na wokandzie publicznej była w owym czasie sprawa oświaty; Komisja Edukacji Narodowej podejmowała właśnie wiekopomne dzieło reformy nauk i szkolnictwa. Kołłątaj wprowadzony przez brata królewskiego do Towarzystwa Ksiąg Elementarnych, nawiązuje bliższą znajomość, a niebawem współpracę z czołowymi jego działaczami, a zarazem inspiratorami i kierownikami Komisji, Ignacym Potockim i Grzegorzem Piramowiczem, a zaleciwszy się im jako człowiek godny zaufania otrzymuje mandat skontrolowania stanu aktualnego pierwszej w kraju wyższej uczelni oraz przeprowadzenia gruntownej reformy. Wykonanie tego zadania, które pochłonęło Kołłątajowi kilka lat pracy, było dla niego i jego mocodawców probierzem zdolności i energii, w dziejach Akademii stało się wydarzeniem przełomowym, istotną rewolucją. Trzeba bowiem zdać sobie sprawę ze stanu ówczesnego uczelni krakowskiej, aby móc w pełni ocenić trud jej wizytatora, a niebawem rektora. Akademia po okresie rozkwitu, przypadającego na przełom średniowiecza i ery nowożytnej, już w XVII wieku stoczyła się na dno upadku. W czasach Kołłątaja wiodła według słów własnych swych członków żywot „mogilny". Są to lata, gdy cała Europa cywilizowana kipi od nadmiaru myśli, idei rewolucyjnych, od dyskusji nad podstawowymi zagadnieniami bytu ludzkiego, gdy zarazem potężny rozwój nauk filozoficznych i przyrodniczych odsłania przed człowiekiem rozległe, nieograniczone horyzonty. Tu tymczasem, w Krakowie, jakby czas się zatrzymał. Akademia tonęła w mrokach średniowiecznej scholastyki obca, wroga, niedostępna jakimkolwiek świeżym powiewom. Kołłątaj, dyplomata, ale bezwzględny, stopniowo, systematycznie, w ciągu lat trzech przeobraził tę ruinę w szkołę prawdziwie nowoczesną. Wygnał scholastykę, otworzył na oścież okna i drzwi dla inwazji wyklętych dotąd nauk przyrodniczych, odświeżył filozofię, zreorganizował naukę prawa, personel stary zastąpił, gdzie było można, siłami młodymi, odpowiadającymi wymogom nauki akademickiej. Równocześnie wizytował i reorganizował podległe uczelni filie i kolonie prowincjonalne. Reforma gospodarki i finansów dopełniła dzieła naprawy. Pamiętajmy, że podejmując to dzieło liczył Kołłątaj lat zaledwie dwadzieścia siedem.

REFORMATOR PAŃSTWA

Ale działalność na polu szkolnictwa nie zaspokajała jego ambicji, marzył o działalności szerszej na forum wielkiej polityki. Możliwości wyłoniły się z chwilą objęcia w r. 1786 stanowiska referendarza litewskiego. Całe życie polityczne owego czasu stało pod znakiem wielkiej reformy, do której nagliła zarówno rozpaczliwa wewnętrzna i zewnętrzna sytuacja kraju, jak zachęcały odgłosy walki, narazie tylko ideowej i intelektualnej, od której drżały jednakże wiązania ustrojowe zachodniej Europy. Nie zapominajmy, że jest to epoka encyklopedystów i Rousseau'a, ostatnie lata przedrewolucyjne. Kołłątaj wszedł w wir spraw politycznych od razu z programem jasnym i zdecydowanym, konkretnym i realnym; miał umysł prawniczy, toteż jego program, nie odbiegając w zasadzie od programów innych statystów polskich owego czasu, przewyższał je ścisłością i rzeczowością ujęcia tez podstawowych, bardziej nowoczesnym sformułowaniem postulatów. Dzięki tym wybitnym zaletom umysłu Kołłątaj, aczkolwiek zrazu w pracach Wielkiego Sejmu bezpośredniego udziału nie brał, w istocie był jego duszą, utajonym motorem jego poczynań, najbliższym, poufnym doradcą dwu czołowych w sejmie tym osobistości: marszałka Stanisława Małachowskiego i Ignacego Potockiego. Równocześnie oceniając jak nikt chyba w Polsce ówczesnej znaczenie propagandy zorganizował ją w sposób zaiste nowoczesny, skupiając wokół siebie grono publicystów, myśl jego polityczną w ulotnych pismach, odezwach i artykułach propagujących. Tak powstała słynna „Kuźnica Kołłątajowska".

Własny program polityczny wyłożył Kołłątaj w głównym dziele, ujętym w formę epistolarną, a noszącym tytuł „Do Stanisława Małachowskiego... Anonima Listów kilka" (1788). Ogólnie rzecz biorąc program ten — jak wspomniałem — pokrywał się z zapatrywaniami innych ówczesnych statystów polskich. Rzecz zupełnie zrozumiała. Zasadnicze dziedziny naszego życia państwowego i ustroju w sposób tak oczywisty i jednoznaczny dopraszały się takich a nie innych reform, że zbieżności były nieuniknione. Żądał więc Kołłątaj tronu dziedzicznego, stałej armii, sejmu nieustannego tj. zawsze gotowego do podjęcia obrad nad sprawami państwa, zniesienia liberum veta i rozstrzygania spraw większością głosów, domagał się powszechnego opodatkowania, wreszcie praw politycznych dla mieszczan, a wolności i własności dla chłopów. Jako nieodrodny syn wieku oświecenia, tak bezgranicznie ufnego w wszechpotęgę rozumu, kładł wielki nacisk na sprawę oświaty, żądając objęcia jednolitym systemem kształcenia zarówno mężczyzn jak kobiet. W tym programie, tak bardzo przypominającym np. projekty Staszica, są jednak pewne ważne i znamienne rysy, które — jak stwierdził to niegdyś Ignacy Chrzanowski — wyróżniły system Kołłątaja spośród innych i sprawiły, że jego to właśnie projekty stanowiły podstawę dla ostatecznej redakcji konstytucji państwowej. Pierwsza, zasadnicza ich właściwość to realizm i dojrzałość w szczegółach; Kołłątaj, praktyczny polityk, nie bawił się w teorie, nie idealizował, wiedząc, że życie jest życiem, brał rzeczy trzeźwo, strał się, by propozycje jego były możliwe do zrealizowania i żeby były urzeczywistniane z korzyścią powszechną. Królowi usiłował zapewnić władzę istotną, choć z konieczności w ograniczonym zakresie. Rezygnował ze stutysięcznej armii i zadawalniał się 60 tysiącami, bo rozumiał, że zrujnowany gospodarczo organizm na więcej się nie zdobędzie. Usuwał wreszcie (oczywiście czasowo) od bezpośredniego uczestnictwa w pracach państwowych ubogą, zaściankową szlachtę, wiedząc, że ten tłum ciemny, nieokrzesany, będący biernym przedmiotem rozgrywek wśród ambitnych, a nie zawsze uczciwych magnatów, może być tylko kulą u nogi każdego rządu. Trzeba było wpierw masy szlacheckie wychować.

Drugą zaś ważną i istotną zaletą projektów Kołłątaja był sposób ich przedstawienia: jasny, logiczny, uporządkowany, co wywodom jego nadawało pozór systemu skończonego i przejrzystego, był to arcytwór umiejętności kodyfikatorskiej.

Wszystkie swe myśli o naprawie Rzeczypospolitej zebrał potem Kołłątaj i systematycznie ułożył w całość zwartą i przejrzystą wydając w r. 1790 jako „Prawo polityczne narodu polskiego czyli układ Rządu Rzeczypospolitej". Była to już niemal konstytucja.

W OGNIU INSUREKCJI

Moment uchwalenia konstytucji majowej i cały z górą rok następny to okres w życiu Kołłątaja najświetniejszy. Konstytucja, która w dużym stopniu była tworem jego myśli, jego energii i woli, stała się faktem dokonanym. On sam obejmował nareszcie stanowisko godne zasług i zdolności, jakie w służbie narodowej wykazał: został podkanclerzym w. koronnym i jako członek rządu mógł bezpośrednio wpływać na tok spraw państwowych. Lecz już niestety gromadziły się chmury. Zwycięstwo Targowicy zmusza go do wyjazdu za granicę wraz z innymi wybitnymi działaczami stronnictwa patriotycznego. Osiada w Saksonii, najpierw Dreźnie, potem w Lipsku, i tu, na emigracji pisze słynną swą apologię „O ustanowieniu i upadku Konstytucji polskiej 3 maja 1791" (1793). Równocześnie staje się najbliższym współpracownikiem grona patriotów, przygotowujących powstanie. Z chwilą wybuchu insurekcji Kościuszkowskiej Kołłątaj powraca do Warszawy obejmując w rządzie tekę ministra skarbu — w istocie jest najczynniejszym politykiem chwili. Objawia się wtedy po raz pierwszy otwarcie, bez osłonek radykalizm Kołłątaja. Walka powstańcza toczyła się na dwu frontach, zewnętrznym i wewnętrznym, skierowanym przeciw krajowym poplecznikom starego porządku. Kołłątaj staje się duszą i przewódcą radykalnego sprzysiężenia, „sekty hugonistów", której hasła i formy działania przypominają jako żywo akcję polityczną jakobinów francuskich. „Czerwony" Kołłątaj, „terroryzmu naczelnik" był zapewne jeśli nie bezpośrednim, to moralnym inspiratorem gwałtownych zajść ulicznych, jakich widownią stała się stolica w czerwcu 1794 r. Jest też rzeczą niewątpliwą, że w owych gorących dniach powstania wyszedł on w poglądach swoich na przyszłość Polski daleko poza ustanowienia konstytucji majowej. W razie zwycięstwa naród miał przystąpić do uchwalenia nowej ustawy podstawowej, która w swym programie społecznym miała się liczyć ze zmienioną konfiguracją wewnętrzno-polityczną. Nie zapominajmy, że ogłoszony już został uniwersał połaniecki i że w wojsku Kościuszki odgrywał poważną rolę żołnierz-chłop i żołnierz-mieszczanin. Ale te plany nie miały już być zrealizowane. Powstanie załamało się, a z tą chwilą nadszedł kres kariery politycznej Kołłątaja.

WIĘZIEŃ STANU

W dniu szturmu Pragi, gdy ostatnie nadzieje rozsypały się w gruzy, opuszcza Kołłątaj samotnie Warszawę. Współtwórcę powstania ścigają listy gończe, ściga go nienawiść Katarzyny, która już na wiosnę domagała się uwięzienia niebezpiecznego buntownika i twórcy polskiej konstytucji. Toteż zaledwie przekroczył emigrant granicę Galicji obłudny i jak zwykle usłużny rząd austriacki aresztuje go w okolicach Przemyśla, dnia 6 grudnia 1794 r. Odtąd aż do r. 1802, przez osiem lat trwać będzie kaźń Hugona Kołłątaja. Przebywa na przemian w więzieniach Ołomuńca i Josephstadtu. Jest bez wątpienia coś głęboko tragicznego v tym spętaniu i zamknięciu v czterech ścianach ciasnej celi więziennej człowieka, który bez działania, bez twórczości szerokiej i pełnej rozmachu życia nie rozumiał i żyć nie umiał. Pozwolono mu po jakimś czasie korzystać z książek. Wtedy to powstają poezje Kołłątaja, zjawisko zadziwiające i zaskakujące u człowieka trzeźwego, intelektualisty o gorącym umyśle, lecz chłodnym sercu. A jednak cierpienie wyzwoliło w nim ton liryzmu; błąkają się w tych elegiach i „smutkach" więziennych echa dawnej i niedawnej przeszłości, wspomnienia lat młodości, matki, przyjaciół, świeżych bolesnych przejść narodowych, powraca wciąż głęboka nuta tęsknoty za życiem wolnym. Ale te wiersze to były tylko „zabawy" — podejmuje Kołłątaj w tych latach więziennych inne jeszcze, daleko poważniejsze prace. Dotąd był przede wszystkim pisarzem politycznym, teraz „uwolniony" od trosk męża stanu mógł dać ujście swoim pasjom naukowym. Bo ten człowiek przynoszący zaiste zaszczyt polskiemu oświeceniu był obdarzony umysłem nie tylko trzeźwym i logicznym, ale ponadto szerokim, ciekawym wszystkiego, o zakroju encyklopedycznym. Szczególnie jednak interesowały go zagadnienia historyczne i filozoficzne, ściślej mówiąc filozofia praktyczna, moralna. Tak to w Ołomuńcu i Josephstadcie poczęły się dwa dzieła imponujące ogromem wiedzy i śmiałością konstrukcji samodzielnej: jedno to „Rozbiór krytyczny zasad historii o początku rodu ludz-

KOŁŁĄTAJ

kiego", trzy wielkie tomy, wydane dopiero po śmierci autora w r. 1842. Wielka to, świadcząca o ogromie erudycji konstrukcja historyczna, usiłująca dać synchroniczny przegląd dziejów pierwotnej ludzkości od czasów potopu począwszy, a zarazem porównawcza historia religii, kosmogonii, filozofii i prawodawstwa, geografia historyczna i generalna chronologia.

Drugie zaś dzieło to wydany w r. 1810 „Porządek fizyczno-moralny czyli nauka o należytościach i powinnościach człowieka, wydobytych z praw wiecznych, nieodmiennych i koniecznych przyrodzenia". Ciekawy to, w duchu epoki oświecenia napisany system moralności praktycznej, wysnuty nie z założeń dogmatycznych religii, lecz z immanentnie w naturze wszechrzeczy zawartego „porządku fizyczno-moralnego", zespołu praw naturalnych, poznawalnych na drodze czystego rozumowania. Mimo tonu chłodnego, rzeczowego, jak przystało rozprawie naukowej, wznosi się tu Kołłątaj na wyżyny idealizmu, zwłaszcza w tych miejscach, gdy roztrząsa obowiązki jednostki wobec społeczności i gdy najwyższą cnotę moralną i obywatelską upatruje w „heroizmie prawdziwym", tj. w zdolności wyrośnięcia ponad siebie samego w akcie ofiary, w gotowości poświęcenia korzyści indywidualnych, mienia, nawet życia własnego dla dobra i szczęścia zbiorowości.

W toku tych prac nie ustawały tymczasem starania nielicznych przyjaciół o uwolnienie więźnia, przez długi czas daremnie. Wreszcie wstawiennictwo osobiste księcia Adama Czartoryskiego i życzenie Aleksandra I otworzyło Kołłątajowi bramy więzienia. W grudniu 1802 r. opuszcza Ołomuniec, ze zdrowiem porządnie nadszarpniętym, ale duchowo nie złamany, pełen jeszcze nowych projektów, nadziei, marzeń.

OSTATNIE LATA

I oto zaczyna się tragedia. Ten człowiek niespożyty, żądny działania, wierzący w swoją przydatność w sprawach publicznych, napotykać będzie w ciągu ostatnich dziesięciu lat życia na obojętność całkowitą. Osiem lat przymusowego odosobnienia jak nieprzebyta zapora odgrodziły go na zawsze od ludzi, od życia, od nowych zagadnień, jakie to życie przynosiło. Warszawa, w której tak niedawno jeszcze był ministrem, której uczuciami i myślą władał jako twórca Kuźnicy, jako czołowy inspirator Kościuszkowskiej rewolucji, ta sama Warszawa przywita go grobowym milczeniem. Był tu już niepotrzebny. Udaje się więc na Wołyń i osiada na przeciąg lat kilku na dzierżawie w okolicach Krzemieńca. Oczywiście gospodarstwo nie mogło zaspokoić jego ambicji, niezmordowana energia myśli stara się znaleźć ujście w obszernej korespondencji z ludźmi nauki oraz w pisaniu projektów, programów i instrukcji dla Czackiego, który organizuje właśnie słynne liceum w pobliskim Krzemieńcu. W r. 1806 na krótko zaświtała nadzieja odmiany losu. Napoleon tworząc Księstwo Warszawskie wzywał Kołłątaja do stolicy. Ale wezwanie to kompromitowało byłego insurgenta w oczach władz zaborczych; uchodził widocznie wciąż jeszcze za niebezpiecznego. Zanim więc zdołał Wołyń opuścić przewieziono go z „honorami" najpierw do Żytomierza, potem do Moskwy. Gdy w połowie r. 1808 mógł wreszcie wyjechać do Księstwa, nie zastał tam pola dla własnej działalności, był już w oczach nowych ludzi człowiekiem epoki minionej. A przecież odczuwał jeszcze żywo wielkość chwili dziejowej, wszystkie nadzieje z nią wiązane. Pisane w tym czasie „Uwagi nad położeniem Księstwa", pełne entuzjazmu dla Napoleona, bezgranicznej ufności w mądrość jego myśli politycznej, świadczą o zadziwiającej młodości ducha, wolnego całkowicie od konserwatywnych skłonności i skostnień starczego wieku. Całym jestestwem swoim wewnętrznym zwrócony ku przyszłości nie wahał się 60-letni starzec uznać za niewystarczające wszystkich reform, których sam niegdyś był twórcą, przekreślał bez żalu dzieło swego życia wierząc, że nowa Polska, której zapowiedź chciał widzieć w tym małym, nadwiślańskim państewku, wypracuje formy życia społecznego lepsze, wyższe, doskonalsze, niż stworzyć usiłowało pokolenie jemu współczesne.

„Uwagi" były ostatnim głosem Kołłątaja do rodaków. Dręczony kłopotami materialnymi, długoletnim kołataniem o wyświadczenie mu sprawiedliwości i oddanie przynajmniej częściowo skonfiskowanego mienia, znękany wreszcie szybko postępującą chorobą przybywa pod koniec 1811 roku do Warszawy i tu, w tej stolicy, która była widownią jego dni najświetniejszych, umiera 28 lutego 1812 r. prawie zupełnie zapomniany. Ciało złożono na Powązkach pod osłoną nocy. Grobu nie opatrzono żadnym napisem, żadnym nagrobkiem, tak że najbliższe już pokolenie potomnych nie umiało wskazać dokładnie miejsca ostatniego spoczynku twórcy konstytucji majowej. Ujawniła się raz jeszcze bolesna, budząca rumieniec wstydu, nie wytępiona dotąd niestety przywara polska: zaciekła zawiść wobec wielkich w narodzie, nieprzejednana niechęć, co zapomina o zasługach, a pamięta o błędach ludzkich nawet w obliczu śmierci.

PRÓBA CHARAKTERYSTYKI OGÓLNEJ

Sprawcą tego osamotnienia, w jakim Kołłątaj umierał, był po części on sam. Natura obdarzyła go organizacją psychiczną dość skomplikowaną, pełną wewnętrznych sprzeczności. Jego namiętna żądza władzy, działania, kierowania losami całego narodu przejawiała się często w formach bezwzględnych i rażących. Był mistrzem intrygi politycznej, bezceremonialnym w stosunku do ludzi. Zarzucano mu chciwość i nazbyt wielką gorliwość w przysparzaniu sobie dóbr materialnych. Jest w tym część prawdy, ale nie zapominajmy, w jakich czasach żyć mu wypadło. Wszak wiek oświecenia, o ile z jednej strony ma zasługi bezsprzeczne w dziejach myśli i postępu, w dziejach wyzwolenia człowieka, o tyle z drugiej przyczynił się w dużej mierze na skutek właściwego mu liberalizmu do podważenia odwiecznych zasad moralności indywidualnej i zbiorowej, do pomieszania najprostszych pojęć, do rozwinięcia egoistycznych apetytów i hedonistycznych zachcianek. Wytwarzały się przeto takie sytuacje paradoksalne, że encyklopedyści, głosiciele wolności i równości, bywali jednocześnie chwalcami najbardziej reakcyjnych w Europie tronów Fryderyka pruskiego i Katarzyny II. I w Polsce nie było inaczej. Zjawiska najszczytniejszej ofiarności i samozaparcia do ostatecznych granic ocierały się raz wraz o dowody grubego materializmu, chciwości i sobkostwa. Zarazem ogarnął społeczeństwo w tych latach ostatnich istnienia wolnej Rzeczypospolitej jakiś — dziś dla nas niepojęty — szał lekkomyślności i pustoty. Historyk owych czasów stwierdza, że Polska konała wśród orgii zabaw, balów i hucznych kuligów. Nie można o tym zapominać, gdy sądzi się Kołłątaja. Był dzieckiem swego stulecia, tego stulecia, które inny wielki jego współcześnik Ignacy Krasicki, a nawet on sam nazwie „wiekiem zepsutym". Ale — podkreślmy to — ambicje Kołłątaja, jego namiętne marzenia o wielkości, o osobistej karierze i zaszczytach, nigdy przecież w sprzeczność nie popadły z dobrem publicznym. Wprost przeciwnie: interes własny umiał zawsze szczęśliwie uzgodnić z interesem swego narodu, drogi awansu osobistego pokrywały się w jego pojęciu z drogami wiodącymi do szczęścia, wielkości i potęgi państwa. Jeśli więc za życia nie oceniono należycie zasług tego wybitnego człowieka, to na przeszkodzie stanęły jak zwykle, owe małe ludzkie zawiści, uprzedzenia, niechęci, podsycane plotką niesprawdzoną, a nawet ordynarnym oszczerstwem. Dziś jednak, gdy z perspektywy lat prawie stu pięćdziesięciu usiłujemy uświadomić sobie wymiary tego zjawiska, któremu na imię dzieło Hugona Kołłątaja, stwierdzić możemy z całkowitym obiektywizmem wyjątkową dzieła tego wielkość. Zasługi historyczne Kołłątaja uprawniają go do zajęcia przodującego miejsca w Panteonie przewódców duchowych narodu. Był jednym z najwybitniejszych w historii naszej mężów stanu; jego rozum, energia, rewolucyjne i śmiałe poglądy predestynowały go niewątpliwie do odegrania roli świetniejszej, niż mu przypadła w udziale w owych nieszczęsnych i tragicznych czasach. Był niemal twórcą faktycznym konstytucji majowej, tego najwspanialszego aktu prawnego, na jaki zdobyła się myśl polska u kresu niepodległości narodowej. Jako pisarz zaś, jeden z najgłębszych w literaturze naszej, tak obfitującej przecież w dzieła wielkich statystów, zajmuje miejsce trwałe i przodujące, umiał bowiem znaleźć dla swoich mądrych i zawsze dojrzałych poglądów wyraz doskonały, nienaganny w układzie i formie stylistycznej.

KOŁŁĄTAJ WOBEC DNIA DZISIEJSZEGO

Nasuwa się jednak pytanie, kim jest, kim może być Kołłątaj dla nas ludzi XX wieku, czy poza ową historyczną wartością nie ma w jego dziele czegoś, co by wykraczało poza granice tamtego, odległego czasu. Pytania takie narzucają się zawsze niejako spontanicznie, ilekroć razy dotykamy myślą minionych czasów, ludzi i zdarzeń. Instynkt i doświadczenie pouczają nas bowiem, że w każdym dziele istotnie wielkim, poczętym z głębokiego przeżycia i rzetelnej pracy ducha, tkwią jakieś wartości wieczne, kryją się skupienia energii żywej, zdolnej do zapładniania myśli, uczuć i woli ludzkiej w nieskończoność.

Otóż w samej osobistości Kołłątaja - człowieka, męża stanu, polityka, jest pewien rys charakteru godny i dziś uwagi, a także przyswojenia: jego realizm polityczny, trzeźwość sądu, rozważna dojrzałość w działaniu. Był pod tym względem zjawiskiem niemal wyjątkowym na tle tłumu szlacheckiego rozmiłowanego w hazardzie politycznym, taniej demagogii, nie mającego nigdy jakiejś ustalonej linii i kierunku działania, zaprzepaszczającego w doraźnych i pozornych „sukcesach" sprawy decydujące o bycie całego narodu. Był Kołłątaj jednym z tych nielicznych statystów polskich o zakroju europejskim, dla których polityka była sztuką realizowania możliwości. Nie znosił iluzji i „romantycznych" złudzeń. Rozumiał, że sfera polityki to dziedzina konkretów, faktów, realnych sił, ścierających się ze sobą w walce ustawicznej i że zwycięża tu ten tylko, kto układ sił walczących przejrzeć potrafi i odpowiednie wysnuć konsekwencje. Dlatego też aż do ostatnich niemal dni życia wykazuje Kołłątaj doskonałą orientację w zmiennym flukcie spraw politycznych tej burzliwej i rewolucyjnej epoki, jego myśl żywa, nie znająca spoczynku, nie zrywająca nigdy kontaktu z życiem, wykazuje aż do ostatka młodzieńczą giętkość nie ulegając ani na moment niebezpieczeństwu zatraty poczucia rzeczywistości. I to właśnie zdrowe i rozumne wyczucie realności rzeczy, niechęć do dokrynerskiego teoretyzowania, pozwoliły mu urzeczywistniać z powodzeniem wielkie reformatorskie zamysły. Jeśli rezultaty ostateczne nie odpowiadały wielkości zamiarów i niewspółmierne były z intencją, to winy w tym Kołłątaja nie było; weszły w grę siły zbyt potężne, by mógł się im oprzeć jeden człowiek. Dziś, gdy powszechna demokratyzacja życia społecznego nakłada niejako na każdego z nas cząstkę odpowiedzialności za kierunek rozwoju i los naszego narodu, studium dziejów Kołłątaja - polityka może być bardzo instruktywne, pozwala zrozumieć, że jedynie słuszną, racjonalną, dojrzałą postawą wobec życia i jego spraw jest realizm, rozważny i czynny.

Całą działalność polityczną Kołłątaja i wszystkie jego pisma przenika duch głębokiego humanizmu. Ten humanizm, szacunek dla człowieka, silne i ugruntowane mocno w duszy poczucie sprawiedliwości — to drugi rys znamienny, co zbliża tę postać ku naszym czasom. Wychodząc z oczywistych, a nazbyt często zapominanych wskazań nauki ewangelicznej uważał za zło największe współczesnej mu epoki niesprawiedliwość społeczną i bezwzględne podeptanie przyrodzonych praw człowieka. Przypominał, że nie masz żadnej istotnej różnicy pomiędzy szlachcicem, a chłopem w obliczu porządku odwiecznego, wobec niezłomnych praw natury, jakim jednako bez wyjątku wszyscy podlegać muszą z woli Opatrzności. „Czy biały, czy czarny niewolnik, czy pod przemocą niesprawiedliwego prawa, czy pod łańcuchami jęczy — Człowiek jest i w niczym od nas się nie różni". Dlatego był jednym z najgorętszych orędowników nędzy uciśnionego ludu wiejskiego, dlatego odrzucał z oburzeniem wykrętne sofizmaty, powołujące się na rzekomą niedojrzałość tego ludu do prawdziwej wolności i jego ciemnotę jako argumenty niby to przemawiające przeciw proponowanym przez niego reformom. „Nie masz czasu — pisał — ani względu na czas, w którym by się godziło Prawa Człowieka gwałcić lub zgwałconych nie powrócić. Nie może się nazwać ten Naród swobodnym... gdzie Człowiek jest niewolnikiem". Pewnie, że myśli podobne spotykamy i u innych publicystów epoki, ale to, co wyróżnia Kołłątaja na tle politycznego pisarstwa owych czasów, to ów ton prawdziwie męski. Kołłątaj nie ucieka się nigdy do tanich argumentów sentymentalnych, nie chce rozrzewniać czytelnika obrazami niedoli kmiotków, lecz stara się myślą jego zawładnąć, przekonać nieodpartą oczywistością logicznych przesłanek. Czujemy czytając jego słowa, że rodziły się one nie z chwilowego wzruszenia, lecz z najgłębszego przekonania i woli niezłomnej, wytężonej ku jednemu celowi. Dziś, gdy walka o prawa szarego człowieka jest zawołaniem czasów, mobilizującym wolę zbiorową milionów ludzi, myśli Hugona Kołłątaja o przyrodzonej wolności każdego człowieka wydają się szczególnie bliskie i aktualne.

Na koniec jeden jeszcze znamienny rys, manifestujący się dobitnie w dziele autora „Listów Anonima", może być szczególnie pociągający dla czytelnika współczesnego: heroizm moralny. Mianem heroizmu określił Kołłątaj szczytowy punkt, najwyższe przykazanie swojej etyki społecznej. Istnieje — według niego — we wszechświecie ustanowiony przez Stwórcę niezłomny „porządek fizyczno - moralny". W tym porządku człowiekowi każdemu przypada nieodwołalnie podwójna rola: jest z jednej strony użytkownikiem przynależnych mu z przyrodzenia praw i przywilejów, a z drugiej dłużnikiem wobec Boga i bliźnich, zobowiązanym do świadczenia im „powinności", o których poucza go sumienie. Ta konieczność wzajemnych usług wynika z samej natury społecznego współżycia. Jeśli nie możemy się obejść bez pomocy innych, to i sami do świadczenia tej pomocy jesteśmy obowiązani. Wymaga tego zdrowy rozsądek i dobrze rozumiany interes własny. Jest to kardynalne prawo życia, którego naruszenie pociąga nieuchronnie bolesne konsekwencje. Ale ponad tą etyką dość przyziemną, bardzo utylitarną, noszącą wszelkie znamiona racjonalistycznego systemu skonstruowanego w duchu epoki, wznosi Kołłątaj wspaniałą nadbudowę nauki o heroizmie moralnym. Interes osobisty, poczucie sprawiedliwości, wzgląd na korzyści obustronne, jakie płyną z wzajemnej wymiany usług, nie mogą, nie powinny być jedynymi pobudkami ludzkiego działania. Istnieje w duszy ludzkiej miejsce na cnotę najwyższą, cnotę heroiczną: miłość ofiarną. Ilekroć razy zapominając o sobie narażamy swe życie, spokój, bezpieczeństwo i mienie dla szczęścia społeczności lub drugiego człowieka, tylekroć razy urzeczywistniamy najwyższy ideał moralny, ideał heroizmu. W tych chwilach bezinteresownej ofiary, jakiegoś zjednoczenia się z ludzkością w poczuciu powszechnego braterstwa i solidarności, objawia się najwspanialej dusza ludzka i jej boski początek.

Ideał heroizmu, będący szczytowym punktem etycznego systemu Kołłątaja, może i powinien przemówić z mocą szczególną do ludzi naszej epoki, epoki, która widziała grozę największej w dziejach świata wojny i oglądała jej straszliwe skutki w duszach ludzkich. Nie ma innej drogi do ocalenia świata i odrodzenia człowieka jak tylko poprzez ożywienie i rozbudzenie potężnej, żywiołowej fali uczuć miłości, braterstwa, powszechnej ku sobie życzliwości, owego heroizmu, o którym pisał Kołłątaj na progu XIX stulecia.

Artur Hutnikiewicz

Eugenia Kobylińska

ŁOWCA ŚWIATŁOCIENI

To było w sobotę 28.I.1950. Działo się w laboratorium fotograficznym przy Akademii Lekarskiej w Gdańsku. Organizator i kierownik pracowni fotograficznej p. Henryk Nowak, wdzięczny uczeń Bułhaka, zaprosił go do obejrzenia tej pracowni oraz pomysłowych przyrządów do wywoływania i utrwalania zdjęć. Weszliśmy razem. Widziałam pośpiech radosny i ów entuzjazm, z którym młody uczeń starego profesora przedstawiał Mu swoje zdjęcia i nowe pomysły techniczne. W pewnej chwili zatrzymał się i wykrzyknął ze szczerym zapałem:

— Ale pan zawsze taki sam. Kiedyż pan się zestarzeje, panie profesorze? Drgnęłam.

— Po co tak mówić? Ludzie, czy tak koniecznie chcecie, żeby ktoś się zestarzał? H. Nowak bronił się, że mu wcale o to nie chodzi, że tylko dał wyraz podziwu dla dziarskiego wyglądu profesora.

Ale pozostał mi przykry osad w sercu. Jakiś niepokój. A tu jeszcze Jan Bułhak odpowiedział z dziwną powagą:

— Ja się nigdy nie zestarzeję. Umrę od razu, ale się nie zestarzeję. Przemilczeliśmy to oświadczenie. Nie chcieliśmy więcej mówić na ten temat. Nieprzyjemne wrażenie przeszło, rozpłynęło się w serdeczności, jaką okazywał uczeń swemu Mistrzowi. Pamiętał dotychczas uwagi krytyczne, jakie otrzymywał ongiś w niezapomnianym liście sławy fotograficznej do nieznanego chłopca zgłaszającego się z daleka. Chłopak zgłaszał się ze swymi pracami po dobre słowo Mistrza. Jan Bułhak dał mu to dobre słowo. O tym się mówiło: o tym się wspominało i w małej pracowni jaskrawo oświetlonej ogromną lampą zrobiło się ciepło, a tak ufnie i serdecznie, jak powinno być między ludźmi.

Gdyśmy wyszli Bułhak rzekł do mnie:

Proszę, zawsze to powtarzam: rzucaj tylko za siebie dobre ziarna, a powrócą żniwem niespodziewanym. Do mnie — ostatnio — często zaczęły wracać takie ziarna — Zasłużyłeś na to... szczęśliwy — powiedziałam.

— Nie wiem... Może i tak... Wtedy dawno temu — napisał do mnie chłopaczek. Nie pamiętam co mię poruszyło w tym liście. Dość, że zebrałem nieco fotografii, kilka książek i posłałem mu z listem. Tak się zaczęło. I — widzisz — oto rezultaty.

Bułhak miał te wspaniałe, bezinteresowne odruchy w stosunku do ludzi, którzy stali mu się w jakiś sposób bliscy. Nie robił z siebie wielkich rzeczy — o nie. Ale że był w wielu wypadkach przez młodszy świat pomijany, więc radośnie przyjmował takie oto objawy serdeczności, jakie okazywał mu były uczeń. Bo jednak ciężko bywa artyście nie mającemu oddźwięku u ludzi. Ludzie muszą dawać i brać i uśmiechać się do siebie i wierzyć i dziękować. Tylko wtedy są naprawdę ludźmi. Bułhak od czasu do czasu pisywał do mnie o tych objawach uznania, z którymi się spotykał, ale też raz dość frasobliwie: **„oklaski to słabe honorarium".**

Mimo wszelkich pozorów powodzenia zarabiał o wiele, ale to o wiele mniej, niż fotografowie mający praktyczniejsze, nie tak olśnione słońcem głowy na karku.

Zrujnowany po wojnie, nie mógł dotychczas kupić sobie dobrego aparatu, a wielbicielom jego jakoś nie przyszło do głowy, żeby mu w ten sposób gremialny hołd okazać. Ale Bułhaka nic nie mogło zrazić do życia. Ubrany bez żadnej pretensji do elegencji a raczej ze skłonnością do zaniedbania, obciążony plecakiem i aparatem, jedząc byle co, przeważnie chleb i mleko, puszczał się w swoje nieskończone wędrówki — ten poławiacz słońca i światłocieni, pełen przenikającego szczęścia, że żyje i widzi ziemię w całym jej blasku, morze, obłoki, i architektoniczne bryły.

— Przyłączyłem do Polski Ziemie Odzyskane swoim aparatem — puszył się żartobliwie. A przecież... Ostatecznie w tym jest jakaś moja zasługa — dodał z pewną dumą. Radosna zasługa. Bo ta praca to moja uciecha zarazem.

„Fotograf — wieczny tułacz, „Jean sans terre". Taki motyl bez troski pławiący się w słońcu. Gdy piszę, za oknami drzewa są złote i brązowe i jarzą się radośnie. Słońce mię rozpala, radość pracy mię rozpiera, poddaj się i ty władzy kolorowego października „dziadowskiego lata" Gorąco cię pozdrawiam Evoe vita J." (16.X.49)

Czy starość może się zdobyć na takie słowa? To był zawsze młody Bułhak. W jednym z ostatnich listów z radością omawia sprawę posady w Muzeum miasta Warszawy i dłużej mówi o życzliwości dyrektora liceum fotograficznego w Warszawie. Zainteresował się bowiem dyr. P. rękopisem „Fotografii ojczystej" Bułhaka. O wydanie tego dzieła zabiegał Bułhak już od dłuższego czasu bezskutecznie.

„Okazał mi dużo życzliwości i prawdziwie mnie zobowiązał a jego szkoła fotograficzna to ostatnie słowo techniki i postępu. Dziwnie mi było i radośnie widzieć zrealizowane moje pragnienia sprzed prawie pół wieku, gdy w Polsce nie było ani jednej szkoły fotograficznej a teraz prócz szkół są cztery licea".

„Poza tym wszystkim pracuję naprawdę za dwóch. Z tym większym radosnym zapamiętaniem, że mam dużo różnych niezłych zdjęć i nadzieję, że pójdą one w ruch i będą ludziom użyteczne". (10.I.1950)

„Jest we mnie jakaś pasja pracy i uporczywość dojścia do celu w pośpiechu, bo jutro niewiadome w ogóle a w moich latach tym bardziej. Łacińskie „carpiediem" stosuję w całej pełni, tylko że w pracy a nie w rozkoszy. Chcę zdążyć zanim przyjdzie koniec — „żywo pożyć i zrobić jak najwięcej dobrego tym, których kocham". (9.I.1949)

„Ale zapewniam cię, haruję, jak saksofonista: głową, rękami, nogami i wszystkim czym. Nie może być, żeby to nie przyniosło skutków dodatnich" (26.I.1949).

A kiedy indziej tak zawoła: — Poganin ze mnie — słońce, obłoki, ziemia to takie szczęście, że ani rusz nie mam ochoty rzucać tego wszystkiego dla zaświatów. Składam ręce i proszę: niech będzie tak jak jest. Niech to potrwa, żebym mógł patrzeć i pracować i dziękować za radość życia jak najdłużej.

A niedawno tak mi się pochwalił: — Nie wiesz, z jaką ważną osobą rozmawiasz. Otóż mieliśmy zebranie w towarzystwie fotografików. No i referent, o którym niesłusznie myślałem, że mi jest czegoś nieżyczliwy, zwrócił się do obecnych i mówiąc o moich zasługach tak się wyraził: „my wszyscy z niego" No i wyobraź sobie — całe audytorium wstało:

— Ja bym też wstała — zapewniłam gorliwie. I wprost chciałabym podziękować im za ten odruch.

— Było mi również miło. Widzisz, chciałbym zebrać na kupienie dobrego aparatu. Nie wiesz, jakby mi to ułatwiło pracę.

Pytałam go w czasie ostatniej wizyty w Gdańsku:

— No i co z tym nowym aparatem? Nie dowiedziałam się. Odpowiadał jakoś wymijająco. Że to, że owo, że za gruba suma i że należałoby zaczekać, bo nawet nie ma czegoś takiego na widoku.

I nie doczekał.

Odszedł tak jak zapowiedział Henrykowi Nowakowi. Od razu. Bez uprzedzenia. Bez żadnych objawów starości i niedołęstwa. Wprost od pracy. (5.II.50).

Za wcześnie jeszcze, żeby dłużej pisać o Nim. Z jego przyjaciół zdruzgotanych tym nagłym odejściem nikt nie ma sił na to.

Bułhak należał do grona ludzi wierzących (mimo swoich „pogańskich" okrzyków). Ale niech wierzący zmienią dla niego starodawny tekst „wiecznego odpocznienia". Niech nie proszą dla niego o „wieczne odpocznienie", lecz o „wieczne zachwycenie" słonecznym migotaniem i ruchliwą grą skłębionych obłoków nad ziemią, którą tak kochał.

Eugenia Kobylińska

Leszcz

PIĘDŹ

Film produkcji węgierskiej. Scenariusz: kolektyw dramaturgiczny filmu węgierskiego, reżyseria: Ban Frigyes, muzyka: Sandor Veres. W rolach głównych: Adam Szirtes i Agi Meszaros.

Program opatrzony inicjałami Filmu Polskiego, zaczyna się od słów: „Piędź ziemi", to film, który należy do rzędu wybitnych osiągnięć ludowej kinematografii węgierskiej". Wydaje się, że gdyby nawet film ten nie był wybitnym osiągnięciem niedopuszczalne byłoby niechlujstwo z jakim autor programu informuje widza o szczegółach filmu. Pierwsza pozycja jego w istocie skandalicznego tekstu układem graficznym sugeruje, jakoby Agi Meszaros wykonawczyni głównej roli kobiecej grała Adama Szirtesa — wykonawcę głównej roli „męskiej", Viola Orban — Ferika Vidora itd. W tekście informują nas: „Mając do dyspozycji tak doskonałych aktorów jak Agi Meszaros w roli Goza i Violę Orban w roli Mariki, stworzyli film, który trzyma widzów w napięciu...". Agi Meszaros młoda artystka węgierska występuje tu wcale nie w męskiej roli Goza, ale właśnie w roli Mariki podczas gdy Goza interpretuje młody absolwent budapeszteńskiej szkoły dramatycznej Adam Szirtes. Te „drobne" pomyłki są jakimś świadectwem zupełnie niezrozumiałego lekceważenia filmu. Tym większego, że jest to drugi film węgierskiej produkcji, który wchodzi na nasze ekrany, że nazwiska wykonawców są w Polsce zupełnie nieznane, że obowiązkiem autora programu było co najmniej ściśle poinformować widza o szczegółach obsady. Program nie zawiera absolutnie żadnych informacji merytorycznych, jest ale wystylizowanym zlepkiem frazesów, a wiele zawartych w nim szczegółów jest jak widać fałszywych. Już od dawna proponowaliśmy aby programy były podpisywane, aby człowiek, który redaguje ich tekst ponosił za treść odpowiedzialność, żeby wreszcie stworzyć jakąś komórkę w Filmie Polskim, która kontrolowałaby stale, podpisywane przecież przez przedsiębiorstwo, teksty programów. Aby scharakteryzować jakość tego elaboratu wystarczy przytoczyć następujące zdanie: „Poczucie wspólnej krzywdy jednoczy całą gromadę i gdy słońce wypala ostatnie źdźbła na nędznych pólkach (choć sąsiadują z rybnymi stawami dziedzica) z okrzykiem „Woda należy do wszystkich" lud przerywa tamy dzielące je od życia". Dobrze byłoby gdyby jednak autor tych słów zechciał zdradzić swoje „incognito" i wyjaśnić co kogo i jak dzieli.

Specjalny smaczek ma fakt, że te same błędy zostały wydrukowane w biuletynie informacyjnym Generalnej Dyrekcji Filmu Polskiego, wydawanym przez Dyrekcję Programową, który jest opatrzony następującą notatką: „Cały materiał „Biuletynu" może być swobodnie przedrukowany w prasie w całości, lub częściowo, lub służyć za materiał do własnych opracowań dziennikarskich". Biuletyn jest pojęty jako pomoc dla recenzentów filmowych, dobrze jednak się składa, że recenzenci jak się okazało nie polegali na informacjach Dyrekcji Programowej i nie wykorzystali ani we fragmentach ani w całości tego swoistego materiału do opracowań dziennikarskich.

Tematem „Piędzi ziemi" jest konflikt między małorolnym chłopem

Eugeniusz Paukszta

POETA PĘDZLA

(Z okazji 45-lecia twórczości Vlastimila Hofmana)

Koloryt jesienny Szklarskiej Poręby nosi w sobie znamiona optymizmu. Pełna skala łagodnie pastelowych barw, od seledynu młodej runi poprzez złocistość szumiącą liśćmi i falującą w powietrzu, do korali i karminów krzewów przydrożnych, przemieszana sinym fioletem lesistych zboczy i dojrzałą zielenią krzewów rododendronu ma w sobie wyraźne piętno spokojnej pogody, ba, nawet wesela jakiegoś. Nastroju tego niezdolna osłabić jest nawet montonia szarugi listopadowej.

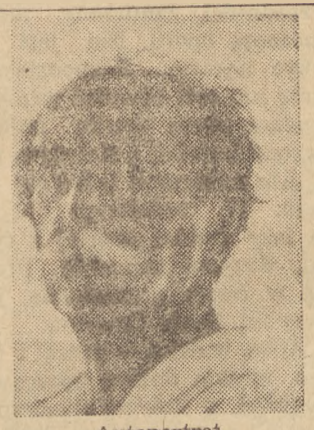

Autoportret.

Do „Vlastimilówki" droga prowadzi ulicą Matejki. Jak później powie Hofman, nawet i ta nazwa uliczki ma dlań pewne symboliczne znaczenie. Przedtem zwała się Spokojną, potem dopiero ktoś ją przemianował.

Oczy nasycone barwą krajobrazu, subtelną grą odcieni i tonów, znajdują nagle przed sobą świat inny, świat barwy płócien artysty. Czy kontrast tych dwu światów koloru? Raczej pełna harmonia. To spostrzeżenie jest tak silne, że przez długi moment odsuwa na margines wszelkie inne odczucia.

Tę samą pełnię spokoju i pogody, dominującą w krajobrazie Szklarskiej, znajdujemy w domu artysty. „Ja jestem tylko Bożym narzędziem w swej sztuce. A któż wie, jakie cele ma Bóg?" — powie potem w rozmowie Vlastimil Hofman. Czy tutaj jest źródło wewnętrznej pogody i spokoju „Vlastimilówki"? Chyba tak.

Vlastimil Hofman przestał się wadzić z Bogiem, z ludźmi, ze światem. Jeżeli w ogóle tak naprawdę wadził się kiedykolwiek... Bo czy jest waśnią to, w czym nie ma nienawiści, gniewu, zacietrzewienia, a tylko najgłębsze przekonanie o słuszności przez się obranej drogi, o prawdzie jakiej się daje wyraz **zewnętrznie** i **wewnętrznie** w swej sztuce? I dalej, czy droga **prawdziwego** artysty kiedykolwiek jest łatwa, czy możliwa bez waśni, jeżeli już nie walki? Sens leży w tym tylko, o co i z czym się idzie do takiej walki.

Ciekawe jest studium drogi życiowej wielkich talentów artystycznych. Jednym sława uśmiecha się dopiero po śmierci, innym u schyłku życia, jeszcze innym w latach młodości. Co jednak naprawdę jest sztuką, zostaje nią, niezależnie od drogi życiowej jej twórcy.

Już po wyzwoleniu kraju formował się w Palestynie Komitet Odbudowy Warszawy. Powodzenie akcji zbiórkowej zależało w dużej mierze od nazwisk, jakie ją poprą. Vlastimil Hofman miał w owym czasie wielkie poparcie zarówno finansjery żydowskiej jak i arabskiej. Apel zbiórkowy nie miał w sobie cienia charakteru politycznego. Artysta bez wahań składa pod nim swój podpis. Z dziecięcym swym uśmiechem zwraca się i uzyskuje poparcie zbiórki przez Araba Murzę i Żyda Harbertala, najbardziej wpływowych postaci swoich środowisk. W marzeniach piastuje nową, wstającą z gruzów Warszawę. I raptem z kół emigracji spada nań potok wyzwisk od „zdrajców" i „bolszewików" Mało tego, za poparcie akcji zbiórkowej na rzecz Warszawy wyprasza się go z Domu Polskiego w Jaffie, nie poznaje na ulicy. Vlastimil nic nie rozumie. Arkana wszelkiej polityki były dlań zawsze obce. On znał tylko miłość do Polski i miłość do Słowiańszczyzny, kładących tak silne piętno na jego twórczości. Realizując wreszcie tęsknotę długich lat wygnania, ciężko w owym czasie schorowany arysta postanawia wracać do kraju. Decyzja jego spotyka się z pogardą i oburzeniem. Vlastimil po prostu ucieka od tej nabrzmiałej nienawiścią i niezrozumieniem jego uczuć atmosfery. Wraca do swego ukochanego Krakowa, do ocalałej z całą swą zawartością willi na Spadzistej u podnóża kopca Kościuszki... Willi, koło której zbierały się ongiś dziesiątki andrusów krakowskich, tak chętnie utrwalanych przez artystę na płótnie, pieszczonych przezeń i wychowywanych.

Kraków wita go obojętnie, dziwnie zimno i chłodno. Do wystawy prac powstałych w okresie wygnańczego pięciolecia krytyka odnosi się mało życzliwie. Tylko publiczność nie zawodzi. Tłumy zwiedzających oglądają cykle „Drogi krzyżowej" czy „Bram jerozolimskich", studia i szkice arabskich i żydowskich twarzy, nowe kompozycje i portrety.

Nie tak wyobrażał sobie poeta pędzla powrót do kraju... Sprzedając za grosze willę pod Kopcem, osiedla się na pograniczu Polski i Czech, w Szklarskiej Porębie. Zastanawia się dzisiaj nad swoistą symboliką tej decyzji. I może rzeczywiście jest jakiś sens głębszy w osiedleniu na ziemiach zachodnich, dopiero wróconych „na ojczyzny łono" artysty, którego sztuka jest z krwi i kości, a nade wszystko z ducha słowiańska? W którego twórczości charakter narodowy, szerzej, charakter słowiański jest tak mocny i wyrazisty, jest treścią duchową każdaje nieledwie kompozycji, każdego portretu i pejzażu? Za poszarpanym pasmem górskim, widocznym z okien pracowni, leżą drogie sercu jego Czechy, a wspólne posiadanie legendarnej Śnieżki kładzie się w myśli jako symbol wiecznego już i trwałego przymierza dwu bliskich narodów. Może obecność tam właśnie Polaka i Słowianina Vlastimira Hofmana jest specjalnie potrzebna?

Jest coś w atmosferze domu przy ulicy Matejki w Szklarskiej Porębie, że dłuższe z nim obcowanie wytwarza zdolność specyficznego oceniania codziennych zjawisk. Tym czymś jest sam artysta. Jeżeli przebywa się tu w atmosferze ciągłego gorącego uwielbienia Słowackiego i Mickiewicza, Puszkina i Norwida, Żiżki i Malczewskiego, jeżeli słyszy się myśl gospodarza wypowiadaną długimi wersetami z „Króla Ducha" czy „Promethidiona", jeżeli raz po raz przemawia do was Daniel Wyspiańskiego, a o wczesnym zmroku jesiennym wszystko zatapia się w dźwiękach Szopena — można w pełni czuć się rozgrzeszonym z odejścia od realnego widzenia świata nieco nawet i w dziedzinę mistycyzmu...

Na ścianie pracowni starannie oprawiona za szkło wisi paleta Malczewskiego. Darowana z dedykacją przez wdowę po wielkim zmarłym. Odwrotna strona kryje najdroższą sercu Hofmana pamiątkę: portret jego, malowany przez Malczewskiego w okresie przedśmiertnym, portret niewykończony, portret, w którym nie znać już wprawnej ręki wielkiego artysty... W prostych, ale przez tę prostotę przejmujących słowach oto jak pisze Hofman o tym ostatnim, już nieudanym wysiłku twórczym Jacka Malczewskiego:

„W tym dla mego mistrza tak tragicznym okresie przedśmiertnym na jego żądanie namalowałem jego portret, „aby go przypomnieć światu", jak mówił. Przedstawiłem go z trzema czystymi pędzlami i czystą paletą w ręku, z pustymi sztalugami w tle, uwieńczonymi jedynie girlandami laurów. Malczewski chciał wtedy w rewanżu mnie wymalować, dla mnie na pamiątkę, gdyż od najdawniejszych lat obiecywał to uczynić, ale zawsze coś temu stawało na przeszkodzie. Aż dopiero w tym smutnym okresie zapragnął wreszcie przystąpić do wypełnienia obietnicy... Wziął do rąk moją paletę i pędzle i z wyrazem wielkiego skupienia począł mnie portretować na kartonie, który mu podałem. W czasie przerwy, gdy zobaczyłem swą głowę naszkicowaną, przez sekundę nie umiałem ukryć wyrazu wielkiego zdziwienia. I choć opanowałem się po chwili przemieniając zdziwienie to w wyrazy wielkich pochwał i gorących podziękowań, Malczewski spostrzegł uprzedni wyraz mej twarzy. Stanął powtórnie przed swoją pracą i zaczął z bólem mówić do siebie: „Nie, nie, to niedobre, to niedobre, jaki ja głupi, jaki ja głupi!". Ten ból wielkiego artysty, geniusza, do dziś dnia jeszcze w pełni nie docenionego, rwał mi serce...".

„Artyście nie wolno zdradzać Boga" — stwierdza Hofman. Słowa te są wyrazem najgłębszych przekonań malarza. Stanowią credo artystyczne jego sztuki.

A oto dalsze słowa Hofmana o sobie i swojej twórczości, wypowiedziane niedawno na polskim Nadodrzu: „Staram się malować jak mogę najlepiej, z jakim skutkiem, nie wiem, od tego są inni, jak mnie zaklasyfikują. Myślę jednak, że dopiero czas będzie bezwzględnie sprawiedliwym sędzią. Sądzę, że najważniejszym kryterium artysty jest jego własne sumienie. Jeżeli maluję jak widzę, czuję i jak rozumiem, a praca mnie cieszy, jestem spokojny, to mi wystarcza. Idę prosto przed siebie swoją własną drogą, a jeżeli to kogoś gniewa, to nie moja wina. Malując wypełniam swój obowiązek i nawet coś więcej aniżeli obowiązek, swoją misję. Moim jedynym staraniem i troską jest, abym możliwie w jak najdoskonalszej formie się wypowiedział w moich obrazach. Stara dewiza dawnych wielkich mistrzów francuskich jest też i moją obecną dewizą: „Les promesses ce n'est rien Execution c'est tout". — Artysta, który zdradzi siebie, schodzi na manowce, a wtedy już mu nie pomogą żadne plany krytyków i nic nie zdoła go pocieszyć, gdyż prawdziwie tworzyć można jedynie z miłości, a mody szybko się zmieniają".

Prządka.

Święty Cyryl i Metody.

Naiwna, dziecinna nieomal szczerość przebija z tych słów. Ta szczerość jest cechą zasadniczą tak sztuki Hofmana jak i jego samego. Nie zdarzyło mi się nigdy spotkać człowieka, który podobnie jak on, otwarcie, bez żadnych przemilczeń, mówiłby o sobie. Takich rozmów nie ma się z Hofmanem zbyt często, nie uważa on tematu za tyle interesujący, by warto było o nim wspomnać. A przecie w twórczym tym życiu znajdujemy wiele interesujących momentów. Tych szczególnie, które w taki czy inny sposób łączą się z charakterem jego malarstwa.

Ojciec Hofmana był Czechem, mieszkającym w Polsce, wielkim słowianofilem, głęboko przywiązanym do swej przybranej ojczyzny. On to był przecie założycielem propolskiej czeskiej „Biesiedy" w Krakowie. Ożenił się z Polką, Terlecką z domu. Jednego syna przeznaczył na Polaka, drugiego na Czecha. Stanisław tymczasem poczuł się Czechem, a Vlastimil Polakiem. Ojciec nie był zmartwiony tym odwróceniem w praktyce swych projektów. Gdy mu Vlast, będący na drugim roku Akademii, oznajmił, że czuje się Polakiem, ojciec odparł na to: „aby nie Niemcem...".

Vlastimil jest to imię-nowotwór. Hofman jest pierwszym jego nosicielem. (Vlast — ojczyzna, mil — miłujący). Nie obeszło się bez kłopotów w Konsystorzu, gdzie musiało się znaleźć i drugie imię — Patrycjusz. Ale Patrycjusz skończył się z chwilą wyniesienia malca z Konsystorza. Vlastimil pozostał. I jest to dziś jedno z najpopularniejszych imion w Czechach.

Vlastimil Hofman mówi o tych wszystkich sprawach mimochodem, ciągle robiąc dygresje na inne, bardziej pasjonujące go tematy O wiele przecież dlań ważniejsze jest to, że drapieżce leśne wyniszczyły prawie zupełnie ptactwo w Szklarskiej Porębie i kilka karmników rozstawionych dokoła „Vlastimirówki" odwiedzanych jest w coraz mniej licznym gronie skrzydlatych gości. Albo, że przejęty jest ostatnio czytaną pracą ks. Kaczmarczyka „Studium krytyczne Ewangelii".

Hofman stał się czymś nie odzownym dla Szklarskiej Poręby. Jego już dzisiaj nie może zabraknąć na ziemi Nadodrza. Wrósł w nią, czuje się dla jej służby potrzebny. I służy. Tak jak służy Polsce, jak służy idei słowiańskiej.

Eugeniusz Paukszta

Film

Z I E M I

węgierskim i wiejskim kapitalistą. Konflikt na początku ściśle osobisty (walka o kobietę) nabiera w miarę rozwoju akcji charakteru coraz ogólniejszego. Cała społeczna problematyka filmu jest ściśle związana z głównym wątkiem fabularnym. Józef Goz zaczynając walczyć o szczęście osobiste, musi podjąć walkę z ustrojem społecznym, staje się niebezpieczny nie dlatego, że odebrał kochaną kobietę bogatemu rywalowi, ale dlatego, że w walce o nią zaczął rozumieć i przeciwstawiać się istniejącej niesprawiedliwości ustroju. Narastanie konfliktów jest przeprowadzone przez scenariusz konsekwentnie, chociaż błędem wydaje się nadmierne skupienie uwagi na sytuacjach ściśle związanych z losem Józka i jego rodziny. Pierwsza część filmu (kiedy jeszcze całość problematyki ma wybitnie jednostkowy charakter), ma żywe tempo, natomiast druga (kiedy walka Józka już wykracza poza jego osobistą problematykę) ma jakieś piętno monotonii, a najciekawsze, najbardziej sugestywne, stają się „marginalia" jak np. epizod chłopa, któremu głod ne dzieci przynoszą obiad, i który złamany nędzą, myśli jedynie o tym żeby zarobić trochę pieniędzy dla siebie i dzieci, naszkicowany problem różnic między robotnikami zorganizowanymi i niezorganizowanymi, epizod licytacji itd. To skupienie uwagi na Józku i Marice wydaje się jeszcze i dlatego niesłuszne, że zmusiło scenarzystów do nagromadzenia takich sytuacji i związanych z główną parą bohaterów, któreby konstruowały żywą fabułę. Mimo tych wysiłków tempo akcji słabnie, wątek osobisty zaczyna być niewspółmierny do zarysowanej problematyki, dzieje Józka i Mariki stają się zbyt jednorazowe, przypadkowe, aby jako jedyny watek utrzymywać napięcie dramatyczne.

Wielką zaletą filmu jest prawdziwe realistyczne spojrzenie na środowisko. Reżyser potrafił pokazać prawdziwą wieś ani na moment nie wprowadzając estetyzującej stylizacji folkloru, unikając też akcentów naturalistycznych.

Koncepcja reżyserska podkreśla i realistycznie interpretuje konkretność środowisk, zarysowanych w scenariuszu. Trafny wybór wykonawców we wszystkich rolach sprawia, że film ma silne piętno prawdy psychologicznej i środowiskowej. Szczególnie Adam Szirtes w roli Goza bardzo trafnie i naturalnie interpretuje rozwój bohatera, podkreślając dojrzewanie jego świadomości społecznej. Operator bardzo pięknie rozwiązuje trudny problem uplastycznienia i ożywienia monotonnego, płaskiego krajobrazu, unikając ujęć panoramy. Montaż żywy i płynny w pierwszej części filmu, w drugiej wydaje się trochę zbyt monotonny w rytmie.

Przekład polski, którego ścisłości niestety, nie możemy sprawdzić, jest niestaranny, a zupełnie niezrozumiałe wydaje się brak napisów polskich w początkowych epizodach filmu. Publiczność słysząc niezrozumiałe słowa węgierskie, a nie widząc napisów, sądzi, że film jest w ogóle nie opracowany.

Nie ulega wątpliwości, że „Piędź Ziemi" jest i artystycznym i ideologicznym wysokim osiągnięciem filmu węgierskiego, dlatego też trudno zrozumieć dlaczego został tak niedbale opracowany i tak lekceważąco potraktowany w programie.

Tadeusz Kordyasz

CONFITEOR ŁAKNĄCYCH

(Fragment powieści)

Dom Bady stoi pod lasem w zupełnym odosobnieniu i trzeba wreszcie oderwać się od skupiska przytulnych zagród chłopskich, wychodząc na otwarte pole. Stąd wiedzie jedna tylko droga do znanego wszystkim celu.

Wikary obejrzał się wokoło. Podniósł sztywny kołnierz farioli, z którą nie rozstał się dotąd po wycieczce rzymskiej i przemyka w gęstniejących cieniach, jak złodziej.

Powietrze, nabrzmiewające już ostrą, żywiczną wilgocią i zapachem drzew, utajonych w mroku, nie traci uporczywej woni ludzkiej obecności. Drażni dalej jałowcowym dymem, parą warzonej strawy i ciepłym oddechem naftowych lamp. Mglisty zmierzch coraz to rozbłyskuje stronami nagłym wybuchem dziewczęcego chichotu. Wiosna. Lada chwila można natknąć się na tokujące pary u progu heretyka.

Ksiądz Andrzej myśli o nim inaczej. Nie dowierza proboszczowi: czy nie przeholował on i tutaj w swojej prawowierności? Zresztą... lepszy jawny przeciwnik niż obojętny współwyznawca. Z takim rozmawia się szczerzej. Wyobraził sobie zuchwale Badę, jako nowy cenny nabytek koła przyjaciół parafii.

Szumna nazwa. Jakżeby przecież mógł wytrzymać na bezwodnej pustyni bez tej garstki? Całe szczęście, że wojna zapędziła do Zakąt trochę ludzi ze świata.

Osiedle jest duże, ale biedne, bezładnie rozsiane po jałowych piaskach wymierającej puszczy. Połowę mieszkańców stanowią robotnicy pobliskiej huty i jacyś przybysze bez określonego zawodu — głównie kurierzy pędzonej na miejscu wódki. Ich śmiesznie małe lepianki bielą się jeszcze na czarnej ścianie lasu i przypomina ją mu pierwsze w terenie porażki.

Ze wzgórza, na które się wspina, widać całą winnicę, którą Pan mu wydzierżawił. W tej przedwieczornej porze, gdy mrok ją zatapia, gdy zaledwie w kilku domach ćmią się mdłe ogarki, ukazuje mu się taka, jaka jest: wroga, zaczajona w ciemności, niedostępna dla promieni łaski.

— Nigdy nie będzie moją — mówi szeptem i zaraz z gniewem uświadamia sobie, że pozuje na proboszcza z Ambricourt. Próbował już przewalczyć siłę, jaką ciążył nad nim wielki pisarz. Te wstrząsające pamiętniki... Nie! W epoce Matki Słowa jest on anachronizmem. „Bóg rzuca nas między Siebie, a szatana, jako ostatni swój szaniec" — mówi święty z Lumbres. Eon manichejczyków też wysyła człowieka do beznadziejnej walki z szatanem. Podejrzana analogia. Cóż wart jest szaniec! Święty z Lumbres nie jest świętym. Wypalony z radości, jak żużel w straszliwym piecu. A mamy „radować się zawsze w Panu". W książkach Bernanosa czuje się Boga, ale jakoś negatywnie, widzi się Go w krzywym zwierciadle diabła. Ten szkaradny towarzysz, przyczepiony do naszych boków, wznoszony do góry na skrzydłach wszystkich, najgorętszych naszych modłów, to potwór nierealny. Obsesja. W tej chwili, gdy najnędzniejsze dziecko ludzkie najnieudolniej wyciąga ręce do Ojca — w tej chwili Bóg z całą potęgą wychodzi naprzeciw. Schyla się ku niemu całym ciężarem Swej straszliwej dobroci. Pomiędzy tych dwoje nikt się nie wciśnie, prócz Pośredniczki wszystkich łask, Protektorki wszystkich modłów. Ona czuwa. Nie dopuści, by ci, którzy proszą o dobre rzeczy, otrzymywali kamienie i skorpiony z łaski szatana. Ona już starła głowę węża. Radujmy się zawsze...

Ale wikary myśli ma niewesołe.

Do najbiedniejszych szedł najpierw, pomny, że Chrystus nie na próżno obdarzał ich błogosławieństwem. Odepchnęli go nieufnie, bez ceremonii. Nie znał tego języka. Węszyli za chlebem, którego on miał pod dostatkiem. Tak, to prawda, trzeba by ich nasycić, żeby podnieśli nosy wyżej. Ale trudno karmić jałmużną ręce, stworzone do pracy.

— Krogulec, ten by im palnął zrozumiałe kazanie. Ciekawe, co przyniesie na jutrzejszy wieczór?

Blada, wydłużona twarz poruszyła wir dręczący. Niepokoi go zdolny chłopak, nad którym tyle się napracował. Na próżno. Czy Paweł ma dobrą wolę? Korzysta chętnie z jego biblioteczki. Wgryza się w Tomasza z Akwinu, Ojców Kościoła, nawet w Pismo Święte. Chłonie to wszystko chciwie, ale przewrotną alchemią mieni w wodę na swój młyn. Założenia marksistowskie ciągle są dogmatami jego wiary — nie podobna inaczej ochrzcić tej upartej mocy przywarcia do idei. Wikary niemal mu zazdrości namiętnego przeżywania kwestii społecznej. Chętnie oddałby swoją namiętność za tamtą. Czy to szatan policzkuje go bodźcem ciała, czy własne lenistwo w służbie... Danuta? Ach, przecież chodzi o jej zbawienie. Tak gorąco pragnie tego! Poświęciłby nawet życie...

— Własność prywatna jest korzeniem przywiązania do materii. Komunizm wyrywa ten korzeń. Mocniejsze lekarstwo na pożądliwość oczu, niż wasza bezpłodna asceza — przewionęły ironiczne słowa. Nic mu wtedy nie odpowiedział, omijając milczeniem zasadzkę. Wciąż jeszcze gubi się w narastających zagadnieniach.

Stanowczo za mało się modli. Cóż, kiedy podły ołów oziębłości gniecie blade pędy wezwań. Bóg, znudzony dzieckiem ojciec, odpłynął daleko i żadna dłoń nie roztuli sieroctwa tego osamotnienia, które okuwa w straszną zbroję. Chodzi w niej całkiem inny, odrąbany od ziemi i nieba. Nawet przyjaciele rażą go obcą barwą, są jak ptaki innego gatunku, bliżsi Boga i dalsi od życia.

Trzeba coś zrobić. Coś wielkiego. Przebłagać Boga czynem. Stan martwoty, posuchy, popycha go do ruchu, gorączkowej działalności. Gdyby nawrócił Badę... Już dawno trzeba było go odwiedzić.

Gęsta chmura przysiadłych na zakręcie łozin, czy głogów zafalowała niespokojnie. Ktoś rozgarnia od środka krzak — sucho pękają wygięte gałązki. Ostry syk, niby węża. Uskoczył w bok i zatrzymał się na kamieniu, na samej krawędzi głębokiego rowu.

— Ukłuło ci? Daj, pocałuję — słyszy gdzieś blisko głos, który dalej przelewa się w westchnienie — przyjdź jutro, będę czekała. Wiesz, ja cały dzień na ciebie czekam... mój ty maleńki, mój jedyny...

Przedarli się widać na drugą stronę. Wikary śpiesznie uchodzi, ale sutanna zawadza, ciąży, nabiera gorącego oddechu tego miejsca. Z zuchwałą jaskrawością zakwitają w ciemnym pyle usta uśmiechnięte.

— Może księdzu poczytać, ksiądz Andrzej taki zmęczony — odżywa w uszach słodycz znajomego głosu, jak sąsiednia struna, zarażona tamtym brzmieniem. Jeśli i ona... to nic, zamienimy miłość ziemską na niebieską. I tej, i tej potrzeba modlitwy. Dziwnie łatwo i ciepło kapią z ust zdrowaśki za Danutę.

Domek na kurzej łapce jest tuż, tuż. Przystanął. Jak zwykle ogarniała go nieśmiałość. Walczył z nią od dzieciństwa — nikt nie podejrzewał, ile go kosztowało każde publiczne wystąpienie, każde zetknięcie się z nowym człowiekiem. Od czego zacząć? Może źle robi, że tu przyszedł? Proboszcz z ambony zakazał parafianom obcować z zielarzem. Czym jest ta nowa sekta, ta gmina starochrześcijańska pod godłem ryby?

— Termin „parafianie" mnie nie obejmuje, jestem ponad nimi — stłamsił skrupuły i otworzył drzwi. Znalazł się od razu w pokoju. Nie było sionki.

Gdy wymówił sakramentalne pozdrowienie, mile został zdziwiony pełnym namaszczenia odzewem:

— Na wieki wieków amen.

Znachor nie okazał najmniejszego zakłopotania niespodziewanymi odwiedzinami. Z uśmiechem, przycienionym ledwo uchwytną czujnością, podsunął gościowi krzesło.

— Zaraz księdzu służę — odezwał się głębokim basem — tylko skończę swoją robotę — pochylił się nad szklanymi naczyniami, przelewając żółte i brązowe płyny. Raptowne skupienie, z jakim wracał do przerwanego zajęcia, uczyniło go nieobecnym: wtopił się w część oglądanego obrazu.

Wikary po raz pierwszy znalazł się w tej dziwnej izdebce, o której tyle opowiadano. Mały pokoik, zapełniony sprzętami, przecina zawieszona u powały sieć rybacka. Trudno odgadnąć jej przeznaczenie. Czy ma stanowić zasłonę dla łóżka, które majaczy za nią w mglistej perspektywie, czy chronić od jakichś wielkich owadów? W każdym razie dodaje uroku mieszkaniu, przywołując na pamięć jakiś bungalow z podzwrotnikowej puszczy.

Granatowe morze nocy napiera na niewielkie okienko, przy biurku, które zasłania Bada. Biurko stoi prawie w kącie pokoju, czołem przywarłe do ściany, niewidocznej spod licznych obrazków. Lśni ona złoceniem ramek, wychyla się twarzami świętych, ucieka w głąb ułudą drobnych pejzaży. W rogu, pod samym sufitem — na modłę bizantyjską, żarzy się lampka, podpalając od dołu duży, jak na rozmiary tego pokoiku, obraz. Czerwony pyłek mży na stół, osuwa się po grzbietach książek, rubinową kroplą spływa po menzurkach i butlach. Teraz dopiero spostrzegł za słojami drewniany posąg — wyobrażenie ryby, stojącej na ogonie. W naiwnym, szablonowym ujęciu rzeźby nie ma nic ciekawego.

Natomiast obraz u góry przyciąga uwagę. Ręczny, sepią robiony szkic głowy Chrystusa, podobny do maski pośmiertnej, pochodzi bez wątpienia z dobrej ręki. W umarłej, czy uśpionej twarzy Zbawiciela żyje niewysłowione znużenie dopiero co skończonej kaźni. Skrzywione w dół usta drgają jeszcze bólem nadmiernym, ale opuszczone ciężko powieki rzucają już na ten ból cień spokoju absolutnego. Obfite pukle włosów owijają oblicze, jak kosztowna materia rzadki klejnot.

Gospodarz odwrócił się nieco i wikary, przypatrując mu się z boku, uchwycił podobieństwo między nim, a obrazem. Blada twarz znachora w oprawie kruczej brody wyraża też jakieś wielkie zmęczenie. Nie ma w niej nic polskiego — wydatny nos i skośne, grube brwi narzucają wschodnie, asyrobabilońskie skojarzenia. Gdy na chwilę zamyka oczy i trwa, jakby w uśpieniu, podobieństwo staje się natrętne.

Ksiądz podniósł głowę i stuknął nią o poprzeczną belkę sporej budowli drewnianej, o którą opierał plecy. Był to warsztat tkacki. Wypełniał czwartą część pokoju, sięgając od drzwi do łóżka. Drugą ścianę liniowały surowe deski, dźwigające mnóstwo pudełek. Czarne skrzynki są źródłem owego aromatycznego zapachu, który uderzył jego nozdrza przy wejściu.

Gdy Bada przerwał obserwacje pierwszym słowem, wikary poczuł się mniej swobodnie. Jakieś żwawsze poruszenie jest sygnałem, że znajduje się już w kręgu cudzych myśli. Duża księga wraca na półkę. Złoty tytuł odciska się wyraźnie w zmurszałej skórze: Opere di santa Caterina. Tak, nie mogła mieć nic wspólnego z receptą. Skąd u niego takie książki? Obok Pismo święte. Po polsku, po łacinie, po włosku. A ten warsztat...

— Lekarstwo z ryby i świetlika... cenne leki. Gotowe — odsunął na bok butelkę z zielonkawym płynem. — Teraz służę. Mam zbadać?

Wikary zawahał się. Przez chwilę pragnął doświadczyć na sobie dziwnej władzy, jaką posiadał ten człowiek nad ciałem ludzkim. Ale natura badania była mu nieznana. Kto wie, co się za nią kryje?

— Na razie dziękuję. Przyszedłem... ufam ziołom... chciałem prosić o jakieś zioła na bezsenność i na... uspokojenie... uśmierzenie — wyrzucił niezdarnie, od razu wyjawiając dalszy cel swoich odwiedzin. Księżowska pewność siebie, której nabył nieco między amboną a zakrystią, opuściła go całkiem.

— Ha, ha , ha... — Bada począł się śmiać. Rechotał żywiołowo, po barbarzyńsku, nieprzyzwoicie długo i mroził przyjazne uczucia wikarego. W czasie długiej rozmowy kilkakrotnie powtarzał się napad. Śmiech pachniał czymś nienormalnym. Piszczące, chyże bluzgi rozwichrzały dostojną maskę, zmywały z niej spokój lekarza, wyczulonego na cierpienie bliźniego. Urwał wreszcie. Z potopu wyłoniła się nowa twarz — fanatyka, zawziętego apostoła.

— Mam tu wiele ziół — powiódł wzrokiem po półkach, jak baca po stadzie posłusznych owiec — Nymphea albo... Nuphar... Chang pu — może niejedno przydało by się księdzu, ale na tę chorobę jest inne lekarstwo. Ha, ha, ha — kobieta! Księdzu potrzebna jest żona... młoda. Niedobrze człowiekowi być samemu — mówi Pismo.

— Pocóż pan to powiedział, wie pan, kim jestem.

— Wiem i... Bardzo współczuję. Nie tylko z powodu choroby celibatowej.

— Pan... nie katolik?

— Więcej niż katolik. Chrześcijanin.

— Przyszedłem tu do pana...

— Przyszedłeś, przypłynąłeś, kochany, jak ryba. — Bada począł się wpatrywać w młodego księdza wzrokiem czułym, niby matka, oglądająca nieznane dziecko. Wikarego mieszało to wejrzenie i opadała zeń siła, którą wnosił pod dach kandydata do koła parafian. Tonie już w niemowlęcej słabości i bezradności, zanurzony mocą, nieznoszącą oporu. Nie jest to przykre uczucie. Bezpodstawne tykanie nie razi również wcale.

Brodacz przez chwilę milczy, urzeczony butelką z zielonym płynem. Ale wikaremu tylko się tak wydaje: W wodnistym kręgu szkła leży grzbiet opartej z tyłu księgi. Krzywo napuchłe litery tkwią w cieczy nieruchomo, jak złote rybki. Santa Caterina.

— Ryba, widzisz — zaczął z rozpędem, niczem dobrze opracowany wykład, z którym niecierpliwie czekał — jest naszym godłem, tak, jak waszym krzyż. To cyrkiel i węgielnica, tajemnicze hasło, otwierające zamknięte drzwi, znak braterstwa minionego. Ichtys... jego monogram. Czy nie uderzyło cię to, że Chrystus tak lubił ryby? Z rybakami się przyjaźnił, ryby rozmnażał i ryba była jego ostatnim pokarmem na ziemi. „A gdy oni jeszcze nie wierzyli i dziwili się z radości, rzekł: macie tu co do jedzenia? A oni podali mu część ryby pieczonej..."

Bo też i my jesteśmy rybami. Pływamy sobie w mętnej wodzie, gonimy za robaczkami, płyciej, głębiej, mało dbając o gwiazdy, tam, w górze. Ale rybak czuwa ze swoją wędką i coraz to nowa rybka opuszcza świat podwodny. Drukarze klepsydr nazywają to śmiercią — zaśmiał się znów.

— A teraz i ty chwytasz przynętę. Przynęta kusi, co? Grubsza ryba, to i przynęta wykwintna.

Młody ksiądz drgnął. Cóż on wiedział o nim?

— Ale proszę się nie lękać, nim wyfruniesz do góry, spełnisz swoje przeznaczenie. Wierzysz chyba, jako ksiądz w przeznaczenie? Nie ma dla ciebie przypadku — Więc i twoje odwiedziny... wedle praw — nie według praw natury, bo tych nie ma. To tylko kruche kule, którymi znaczy drogę ślepiec w pustyni materii, tańczącej w rytm myśli niezmiennej. Ale wedle praw boskich, twój pobyt u mnie, w tym pokoju, przewidziany został od wieków. Nie mogłeś do mnie nie przyjść, nie możesz nie usłyszeć słów, które za chwilę wypowiem. On wprawdzie szanuje wolną wolę, nie gwałci chcenia. Nie mógł przeto sprawić, żebyś nie chciał tu przyjść. Ale mógł— wszechpotężny, spowodować, żeby pół godziny temu, pewien kamień osunął się trochę niżej w...

Zawiesił następne słowo na rozchylonych wargach i wpatrywał się figlarnie w wikarego.

— ... rowie, tam, na zakręcie, obok krzaka głogu. Mógłbyś wtedy przypadkiem złamać nogę i... nie przyjść do mnie, co?

Wikary wzdrygnął się. Czyżby Bada w ten sam sposób widział jego myśli?.

— To jeszcze nic . Przeznaczenie dalej sięga, poza fizyczny świat. Słuchaj, co mówi Pan: „znaleźli mnie ci, którzy mnie nie szu

kali... okażę miłosierdzie temu, komu mi się podoba. Zali rzecz ulepiona mówi temu, który ją ulepił, czemuś mię tak uczynił? Czyż garncarz nie ma mocy, aby z tej samej bryły uczynić jedno naczynie ku poszanowaniu, a drugie ku zelżywości?"

Zaczął dłonią zataczać koła w powietrzu, jakby obracał niewidzialny kamień tokarski.

— Ot, nocniczek, ha, ha...

Czarne łuki brwi spięły się tuż nad nosem. Wieczna lampka krwawi zakrzepłą w bolesnym uśmiechu twarz kusiciela, który skanduje bezlitośnie:

— „Nad kim tedy chce, lituje się, a kogo chce, zatwardza..."

Raptem odezwał się niemal wesoło, jak do chłopca, zostawionego przez złośliwy żart w ciemnym pokoju:

— No, no, spokojnie. Łatwo to zrozumieć, trzeba tylko zostać prostaczkiem i stanąć na głowie w pośród rynku świata. Świata, za który On się nie modli, słyszysz? Tego świata nędzą doskonałego, co dziś wypina na gwiazdy swoją okrągłą du... ha, ha, ha!

Bełkot niesamowitego śmiechu wyszarpnął się z gardzieli i lunął na pokój. Wikary pomyślał, że Bada dostał jakiegoś ataku. Chciał uciec spod przykrej ulewy nieustającego chichotu. Wstawał. Tam ten nagniótł mu szeroką łapą kolano.

— Poczekaj. Mamy z sobą dziś dużo do pomówienia. Dawno chciałem z tobą tak pogadać. Słuchałem twego kazania w dzień Wniebowstąpienia. To było jeszcze... ale nic. Powiedziałeś, że ja nie jestem katolikiem. Prawda. Ale twoi katolicy są mniej chrześcijańscy niż ja. Wchodzą do kościoła, biją pokłony — wychodzą i kradną, piją, mordują. Jak tu jestem, już pięć zabójstw. Robota obrońców chrześcijańskiej kultury. A... „mężobójcy nie wnijdą do Królestwa Niebieskiego", co?

Ech, ta wasza religia... Godzinki, nowenny, piątki, soboty, cudowne medaliki, fetysze, cała ta biała i... — tu uszczypnął rubasznie sutannę wikarego — czarna magia... Sarmacka dewocjo! Nie okpicie świeczką bóstwa. Ryngraf na piersi, a w piersi gnój, co? Ty wiesz o tym, bracie! Ale Bóg uderzył w tę pierś i roztrzaskał ją! Zdarł szkaplerze w obozach koncentracyjnych. Różańcowe panienki wydał na pastwę żołdaków, nie?

Ale w wikarym już rósł bunt. Znachor bezlitośnie rozdeptywał zagadnienie, któremu poświęcił wiele nieprzespanych nocy.

— Czy uważa pan — wyskoczył z dawno przygotowanym ciosem — że Anglia... ta handlarka krwi.. jest droższa bożemu sercu i dlatego nie spotkała jej dotąd żadna kara?

Bada stropił się na niewidoczny moment.

— U wrót wyspy — huczał — stoi Pan. Ona zapłaci swój rachunek. Na razie — podjął żywiej — Anglia nie narzeka na Pana Boga. Oni... oni nie są tacy pobożni, żeby nawet do burdelu wchodzić z medalikiem.

Ktoś pukał nieśmiało do drzwi. Ksiądz zwrócił na to gestem uwagę gospodarzowi, który zdawał się tego nie słyszeć. Miał nadzieję, że gość pozwoli mu uciec z jaskini rozjuszonego lwa, który w niczym nie przypominał niemej ryby. Proboszcz miał rację...

Ale okropny brodacz podnosił rękę do góry.

A wy, co robicie? Coście zrobili ze światem?! — ryknął w samo ucho wikaremu, który odsuwał się ile mógł do tyłu, starając się wcisnąć w twarde belki warsztatu.

Tadeusz Kordyasz

Wiktor Doda

O nowym wydaniu Sienkiewicza

Nie tak dawno opowiedziano w naszej prasie tygodniowej o dosyć znamiennej „drodze do Polski" Tadeusza Zielińskiego, uczonego — filologa o europejskim rozgłosie. Korzystam ze sposobności, by zdyskontować przygodne to przypomnienie. Na pewno zaś nie uchybię pamięci wielkiego filologa, jeśli odwołam się do jego autorytetu w sprawie metody wydawania tekstów. Czy jego wskazówka pod tym względem zasługiwałaby na zlekceważenie? A gdzie jej szukać? Nie koniecznie w fachowych rozprawach prof. Zielińskiego. Dość będzie sięgnąć do licznych jego artykułów w prasie codziennej, zawsze ciekawych i instruktywnych. W jednym z nich nasz uczony potrącił mimochodem o sytuację w zakresie krytyki filologicznej przed półwieczem i w dobie międzywojennej. „Tak jest — pisał prof. Tadeusz Zieliński — wówczas zepsucie naszej tradycji tekstów literackich było dogmatem, starano się w najlepsze je poprawiać; za krytycznie usposobionego filologa uchodził ten, kto wydawał swego autora z największą liczbą tzw. koniektur, tj. rzekomych poprawek tekstu. I oto nagle znaleziska egipskie, odkrycie w piaskach Egiptu rękopisów, o przeszło tysiąc lat starszych od tych, którymi posługiwaliśmy się dotychczas, sprawiło, że koniektury poszły do diabła; „być nowoczesnym — to znaczy być konserwatystą w krytyce tekstów", orzekł pewien filolog...".

W przystępnie ujętej opinii wytrawnego filologa, którą powyżej przytoczyłem, nie ma rewelacji, nawet w przystosowaniu do współczesnej praktyki wydawniczej. Czy jednak przypomnienie jej wciąż u nas nie jest na czasie? Czy zeszłowieczny snobizm edytorski dotychczas się nie panoszy i nie rozpycha łokciami? Jeśli więc przydałby się komukolwiek czynnik refleksji i powściągu, niechże tę rolę spełni cytowana opinia prof. Tadeusza Zielińskiego. Nie łatwo chyba byłoby ją zakrzyczeć?

***

Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie ukazało się onegdaj pierwsze dziesięć tomów wydania zbiorowego „Dzieł" Henryka Sienkiewicza pod redakcją prof. Juliana Krzyżanowskiego. Pośród nich znajdują się następujące tomy: II — VI zawierają umiejętnie rozmieszczone nowele wielkiego pisarza, XXIII — XXVI obejmują „Krzyżaków" i XLIII z „Listami z Afryki".

Jak słychać, nowa edycja obliczona jest na 60 tomów i pomyślana jako pierwsze zupełne wydanie zbiorowe spuścizny Sienkiewicza. Dotychczas jednak nie ukazał się jego tom pierwszy, który zapewne przyniesie uwagi wstępne redaktora z uzasadnieniem układu i zasady edytorskiej wydania. Mniejsza zresztą o przyjętą metodę wydawniczą: ta bowiem sama tłumaczy się lub nie usprawiedliwia dostatecznie; ale w sprawie układu edycji czytelnik skazany jest na domysły, które uchylają się spod oceny.

Niemal każdy tom nowego wydania przynosi podobiznę pisarza z odpowiedniej doby jego życia i twórczości, nieraz niezbyt starannie wykonaną i odbitą, a zaś dwa z nich fotografię autografu „Krzyżaków"; każdy z nich (oprócz „Listów z Afryki"; przy „Krzyżakach" ostatni) posiada „notę edytorską" informującą o podstawie przedruku każdego utworu.

Jak sobie wydawcy z tym radzą? Na ogół dosyć prostodusznie. Najczęściej bowiem korzystają z tekstu pierwszego wydania zbiorowego za życia pisarza (Warszawa, 1880 — 1913), co ostatecznie tłumaczy się istotnymi względami na chronologię przedruków. Ale naiwnością nie do darowania jest parokrotne użycie na ten cel wydania „Tygodnika Ilustrowanego" (III s. 219). Czyżby wydawcy nie pamiętali, że popularna edycja nosi na sobie wyraźne piętna cudzej ręki, co ją chyba dostatecznie dyskwalifikuje? Dlaczego zaś nie liczono się z możliwością obcej ingerencji również w tekście pierwszego wydania zbiorowego? Istnieją przecież poszlaki (przeze mnie bodajże wskazane przed kilkunastu laty), które uprawdopodobniają to wręcz przekonywująco. Przewidująca ostrożność była tutaj zalecona i wprost niezbędna. Czy ją zachowano i poddano tekst systematycznej kontroli?

To prawda, że wydawcy niemal stale notują wiadomość o pierwodruku każdego utworu. Trudno jednak nie zauważyć, że rzadko (i to zaledwie w kilku wypadkach) sprawdzają tekst, przy jego pomocy i zaznaczają o tym w „nocie edytorskiej". Chyba zaś można im tutaj wierzyć na słowo: nie mieliby bowiem powodu kryć się z tym, gdyby tak czynili częściej (i z takim jednak wypadkiem się spotkałem) Czy więc nie okazują tym samym zbyt wiele pogody umysłu? A wyniki? Rzecz oczywista, że bynajmniej nie nadzwyczajne.

W „nocie edytorskiej" do noweli „Na jasnym brzegu" wydawcy notują datę pierwodruku i pierwszego wydania książkowego z tegoż roku (VI, s. 312). W tekście nowego przedruku znajduje się szczegół następujący: „Świrski i pani Elzenowa zostali sami, lecz widocznie ciężyła nad nim i tego dnia jakaś fatalność, zanim bowiem mogli skorzystać z chwil..." (VI, s. 163). Ta oczywista reprodukcja starego błędu z pierwszego wydania noweli (1897, s. 10, zamiast: „nad nimi...") wskazuje na bierne korzystanie z przekazu źródła. Gdzie indziej atoli odstępują od jego tekstu („...czy ten sam potworny egoizm, zmieniony w obrazę, nie popchnie jej do jakiego szalonego czynu..., VI, s. 231, zamiast: „nie popchnie ją do jakiego szalonego czynu..., I wyd. s. 157). Czy jednak nie czynią tego zbyt pochopnie i raczej na własną rękę? A wszak można było i należało sprawdzić w pierwodruku (lub w autografie utworu, jeżeli się zachował): czy zachodzi tu wypadek usterki druku lub indywidualna właściwość języka pisarza, w rodzaju poznanej dyskusji językoznawczej o powojennym wydaniu „Krzyżaków"? Taką formę gramatyczną pisarza (dopełniacz po przeczeniu zamiast biernika) uszanowano w nowym wydaniu „Krzyżaków" (XXIV, s. 78), czemu jednak tutaj ją usunięto i to bez racji dostatecznej?

Dlaczego o tym mówię? Obydwa znamienne te drobiazgi zacytowałem na dowód, że zamiast krytycznie ustalonego lub chociażby skontrolowanego tekstu utworów nowa edycja puścizny Sienkiewicza przynosi raczej przedruk (nie rzadko mniej staranny) jakiegoś poprzedniego wydania. To może dosyć, by uczynić zadość ograniczonym wymaganiom własnym wydawców, zbyt mało jednak by sprostać potrzebom wiedzy o Sienkiewiczu i wymogom techniki edytorskiej. Honor wydania ratuje nowy tekst „Krzyżaków". Ale właśnie przy jego opracowaniu wydawcy mogli znaleźć wskazówkę, co i jak należało zrobić przy innych utworach Sienkiewicza.

***

Przyjemną niespodziankę przynosi edycja „Krzyżaków", obejmująca cztery tomy (XXIII do XXVI) nowego wydania zbiorowego. Sprawia to nie tylko sam tekst powieści, ale również metoda jego opracowania. Sympatyczną w dziejach wydań Sienkiewicza jej nowością jest pewna rzetelność filologiczna, która zobowiązuje do niejakiej ostrożności przy ustalaniu autentycznego tekstu utworu. Pod jej nakazem nowi wydawcy dotarli mianowicie do nieznanych materiałów tekstowych, nie mało ułatwiających rozpoznanie właściwych intencyj pisarza. Jak dotąd brało się pod uwagę pierwodruk powieści w „Tygodniku Ilustrowanym" (1897 — 1900) i pierwsze jej wydanie książkowe (1900). Wydawcy odszukali obecnie odbitkę 21 rozdziałów, sporządzoną dla nowych prenumeratorów czasopisma, i sięgnęli również do rękopisu utworu. Wspomniana odbitka z r. 1898 o tyle jest ciekawa, iż nosi ślady dalszej pracy pisarza i zmian czynionych przez niego w czasie drukowania się powieści, i dlatego jest jakby ogniwem pośrednim pomiędzy jej pierwodrukiem a pierwszym wydaniem. Do powyższego zespołu tekstów wyraźnie nie przystaje wydanie z roku 1903. Dlaczego więc i poco je uwzględniono? Czy nie taktowniej byłoby o nim zamilczeć?

Co dały powyższe zabiegi wydawców? Bardzo dużo. Obfity bowiem materiał, którym rozporządzali, pozwolił wydawcom na rozważne i staranne oczyszczenie tekstu utworu z niezliczonych błędów różnej kategorii, tych mniej lub więcej okazałych, a zawsze istotnych zniekształceń i szczerb, które się w nim datują od pierwszej jego edycji czy nawet pierwodruku, niedostrzeżone przez korektorów i pisarza. Cóż zresztą dziwnego, że one dostały się tam i ostały? To pewna, że Sienkiewicz wiele trudu i uwagi poświęcał pracy nad tekstem dzieła, i powracał do niej dwukrotnie. Ale miał specalne cele na oku: dbał bowiem przede wszystkim o zharmonizowanie (m.in.) niektórych motywów w pierwszych rozdziałach z nowym tokiem utworu, który coraz dojrzalej kształtował się podczas zaawansowanej już jego pracy twórczej. Uwaga pisarza z natury rzeczy była podówczas raczej jednostronna. Jego korekta pisarska, sądząc bodajże z tego, co o niej informują wydawcy, była troskliwa i wyczerpująca, ale dlatego właśnie osłabiała jego pieczę nad poprawnością przedruku. To może nie usprawiedliwia, ale przynajmniej wyjaśnia zaplątanie tekstu powieści pod okiem wielkiego pisarza. Taki stan trwał długo i zachęcał do pracy nad rozwikłaniem powyższej plątaniny, w rodzaju podjętej przez ostatnich wydawców, nie uprawniał jednak bynajmniej nikogo do swobodnego gospodarowania się w tekście powieści jakby na własnym podwórku. Nigdy zaś podobno nie brakowało uproszczeń w tym kierunku?

Równolegle z tradycją błędu istnieje również długa tradycja obcej ręki w tekście powieści. I z nią także ostatni wydawcy zetknęli się praktycznie i z bliska. Najdobitniej zaznaczyło się to przy omawianiu wyników porównania pierwodruku z rękopisem utworu (XXVI, s. 251).

W „uwagach wydawcy", ogłoszonych na końcu IV tomu powieści, oblicza się odmiany tekstu, uwzględnione w obecnym wydaniu, na kilkaset (XXVI, s. 251). Cyfra ta nie jest przesadzona, jeśli się zaznaczy: w stosunku do tekstu powojennego wydania, którym w swej pracy wydawcy się posługiwali nie trudno to bowiem odgadnąć po znakach szczególnych, które przedostały się stamtąd do tekstu nowej edycji. Czy to jednak powyższą cyfrę umniejsza lub kompromituje? I tak przecież jest przekonywającym wskaźnikiem włożonej pracy, staranności i precyzji filologicznej.

Pośród powyższej cyfry odmian wiele pojawia się w tekście „Krzyżaków" po raz pierwszy od półwiecza. Niektóre z nich stanowią dłuższe zwroty, nieraz całe zdania. Te najłatwiej wpadają w oko. Czy jednak wprowadzenie ich do tekstu głównego zawsze wydaje się uzasadnione? W znacznej części, owszem. Ale co do niektórych budzą się pewne zastrzeżenia. Dotyczy to na przykład szczegółu, który przywrócono w tekście nocnej sceny ślubu Zbyszka z Danusią („ — i w końcu rozpłakała się serdecznie, zupełnie jak wówczas, gdy ostatni raz śpiewała tę pieśń Zbyszkowi, w krakowskim więzieniu — gdy myślała, że mu nazajutrz szyję utną.." (XXIV, s. 146). Mieści się tutaj przypomnienie zbytecznie i wręcz nieścisłe, co uprawdopodobnia pominięcie tego szczegółu przez pisarza, z korzyścią dla prawdy i zwartości stylistycznej kontekstu. Jakież racje mogą usprawiedliwiać jego przywrócenie?

Ta sama historia gdzie indziej („A mówił także pan de Lorche, że jeśli Krzyżak legnie, to on ciało jego odwiezie, a potem wraz do Malborga pojedzie...", XXV, s. 50); i ten bowiem szczegół, odzwierciedlający jakiś zarzucony później pomysł powieściopisarza, uległ zapewne skreśleniu podczas generalnej korekty autorskiej dzieła. Gdzież więc jego prawo do miejsca w tekście?

***

Spośród dziesięciu obecnie wydanych — pięć tomów wypełnia lwią część dorobku nowelistycznego Sienkiewicza; a zwłaszcza nowele i obrazki z doby Litwosa. Już kilkadziesiąt lat dzieli je od chwili, gdy poczęły się ukazywać w odcinkach prasy warszawskiej. W ciągu tych lat sporo burz dziejowych przeszło nad światem; wartka fala życia niosła coraz nowe przemiany społeczno - polityczne i gospodarcze. W ciągu tych lat nie byle jak przeobraziło się oblicze świata czytelników, z gruntu jakby odmienił się sam jego skład społeczny. Czy w tym wirze przemian nie utonęło coś z wartości nowel Sienkiewicza? W swoim czasie znaczyły one sobą nową epokę w polskiej sztuce słowa. Ten posmak pisarskiej odnowy jaki miały u współczesnych, dzisiaj już na nas nie działa. To pewna jednak, że w pełni działa nieprześcigniony kunszt pisarza: naturalny tok jego fikcji, przejrzyście rozplanowany, spowity w mistrzowskim słowie, soczystym i świeżym jak leśna jagoda, dojrzałym i prostym jak zapach ziemi.

Utwory te udostępnione w nowej edycja zbiorowej. Czy nie oczywisty to jej zysk społeczny?

Wiktor Doda

Teatr

TO NIE SĄ DULSCY

Reżyserowany przez Irenę Babel spektakl „Moralność Pani Dulskiej“ wywiera na widzu dziwne, nieokreślone jakieś uczucie — powiedzmy od razu by nikogo nie łudzić — niedoskonałości.

Ze sprecyzowaniem wrażeń kłopot dość duży. Jakiś niedosyt, jakieś puste miejsca. Niby to, a nie to... I oklaski (wyłączywszy te, które przeznacza się dla Ćwiklińskiej), jakieś stonowane niepewnością i miny zlekka jakby zawiedzione. Najżawziętsi wielbiciele teatru, ci, którzy czasem zbyt łatwo (wielka miłość potrafi zaślepiać) ulegają zaczadzeniu entuzjazmem, tym razem czują jakieś zahamowanie wewnętrzne. Uporczywe poszukiwania przyczyn tego stanu rzeczy, drobiazgowe badania metodą od nitki do kłębka kierują na pierwsze ślady.

Obserwujemy bacznie sylwetkę pani Dulskiej. Zdawałoby się iż Mieczysława Ćwiklińska... tak, znakomita aktorka komediowa zbiera gorące brawa przy każdym niemal wejściu na scenę. Są to jednak brawa przeznaczone dla Ćwiklińskiej, a nie dla jej Dulskiej. Zdaje się, iż to tu właśnie tkwi pierwsze potknięcie się spektaklu. Pani Dulska Anno Domini 1950 zwytworniała jakoś, wyinteligentniała, tracąc przez to wiele z tych elementów, które nazwisko jej wprowadziły do historii obyczajów swojej epoki. O tym, że mamy do czynienia z Dulską, świadczą tylko te same słowa Zapolskiej. Pozostał małomieszczański sposób myślenia — zaginął gdzieś małomieszczański sposób bycia — zasadniczy składnik pojęcia Dulszczyzny. Pani Dulska w nielicznych tylko momentach może być traktowana jako ta, która zdolna jest w istocie do steroryzowania swojego otoczenia.

Powoli sytuacja zaczyna się wyjaśniać. Oczy biegają gorączkowo od postaci do postaci. Niemal wszędzie jakieś skazy i to prześladujące nas od początku uczucie niepewności.

Pan Dulski nie wygląda zupełnie na męża zahukanego przez własną żonę. Przedstawia się on nam raczej jako kaleka, jako człowiek niedorozwinięty psychicznie. Prawda, że powinien on zgodnie z intencją Zapolskiej milczeć, prawda, że na rozkaz Dulskiej ma on swój przez lekarza zalecony spacer realizować w wędrówce dookoła stołu — ale, nie w ten sposób milczeć, by sprawiać wrażenie kaleki — niemowy, nie w ten sposób spacerować, by prowokować nas do podejrzeń, że za chwilę dowiemy się prawdy: Dulski zatrzyma się w połowie drogi i urbi et orbi ogłosi: ja jestem Napoleon Bonaparte.

Najtrudniejsze role w teatrze, to te, gdzie trzeba milczeć, gdzie za aktora nie pracuje tekst, najtrudniejsze w pierwszym rzędzie dla tych wykonawców, którzy zapominają, że do instrumentów gry aktorskiej (parafrazuję tu znaną chyba wszystkim opinię Jaracza), należą prócz głosu — nogi, ręce, zmarszczki, słowem to, co określamy terminami: mimika i gest. Ćwiklińska nie poradziła tu sobie ze swoją własną naturą, nie potrafiła umniejszyć swego wrodzonego czaru i uroku — Mieczysław Winkler poszkapił Dulskiego albo niezrozumieniem sztuki, albo brakiem umiejętności.

Najbliższy prawdy był chyba Władysław Sheybal jako Zbyszko. I on momentami zdradzał niedopracowania postaci, która wówczas nagle stawała się zbyt modern i on chwilami nadużywał tzw. przeżycia co w rezultacie dawało posmak raczej histerii wynikłej z lumpiarstwa, zamiast dulszczyźnianej neurastenii, ale te ułamkowe niedociągnięcia kompensował scenami przemyślanymi rzetelnie. Do takich świetnych zagrań zaliczyć należy scenę rozmowy z Melą.

Mniej udane były w zasadzie obie siostrzyczki „lamparta“. Benigna Sojecka (Mela) nie wyszła jeszcze ze skóry Maszeńki i uporczywie częstowała nas chwytami z tamtej sztuki. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponosi również kierownictwo artystyczne teatru, które winno, zwłaszcza w odniesieniu do młodych aktorów, bardziej dbać o różnorodność przydzielanych ról. Polityka tego typu, co stosowana ongiś przez Poredę w stosunku do Stanisławy Stępniówny, a teraz przez Teatr Nowy w stosunku do Sojeckiej, zwęża zakres zainteresowań aktorskich, prowadzi do zarzuconego już chyba od dawna podziału ‚specjalizacji“ według kategorii: pierwsza naiwna, pierwszy amant itd. Aktor winien mieć jakąś szerszą skalę możliwości i zadaniem teatru, który ma przecież obowiązek wychowywania narybku, jest poszerzanie a nie zwężanie tej skali. Sojecka przesłodziła swą rolę, a właściwie tylko w jednej scenie (wspomniana już rozmowa przy kominku) dźwignęła się do niezłego poziomu partnera.

Janina Anusiakówna (Hesia) wypadła żenująco słabo. Hesia ma być nieodrodną córką swej mamy, młodą pannicą wyładowującą swój temperament w naiwnym naśladowaniu starszych bez świadomości jaki jest sens tego co robi, jaka jest istotna treść tego co mówi. Tutaj mieliśmy do czynienia raczej z dziewczyną zepsutą (niesmacznie ujęta scena przyciskania Meli), z dziewczyną, która wie doskonale co znaczy mamine powiedzonko o nieprzekraczaniu granicy, wie... i nie bardzo ma zamiar tego „przykazania“ przestrzegać.

W ten sposób ujęte postacie klanu Dulskich doprowadziły do tego, że mamy do czynienia z jakąś inną familią niż ta, którą drapieżnym talentem scenicznym rysowała Zapolska. I dochodzimy do sedna sprawy. Znaleźliśmy, sądzę, przyczynę naszych nastrojów niedostatecznego zadowolenia. Wydaje się, iż to reżyser nie uchwycił w pełni znaczenia słowa „dulszczyzna“. Wydawało się realizatorce spektaklu, że sam tekst da pełne określenie tego pojęcia. A tak nie jest. I tak nigdy nie będzie w teatrze dla którego pisze prawdziwy pisarz — dramaturg. Zapolska, znakomita (choć przez intuicję tylko) znawczyni praw sceny pisała swe sztuki wiedząc, iż wykonuje połowę roboty, że ta olbrzymia reszta jest już sprawą samego teatru. Dulszczyzna przejawiła się nie tylko w specyficznej „moralności“ — wywarła ona na owładniętych tą chorobą i inne piętna. Ta „moralność“, ten charakterystyczny sposób myślenia regulował wszystkie inne szczegóły życia, zarówno krój stroju, jak i sposób noszenia tego stroju, zarówno treść słów jak i sposób ich wypowiadania.

Poza wymienionym już wyżej Sheybalem, który najlepiej, bo najprawdziwiej reprezentował rodzinę, ratowały spektakl Jadwiga Leman (Juliasiewiczowa) i Irena Eichlerówna (Hanka). Poprawną sylwetkę Juliasiewiczowej uzupełnią sądzę dalsze przedstawienia, które przyniosą większą swobodę odtwórczyni, co automatycznie zlikwiduje pewną teatralność gestu.

„Hanka“ Eichlerównej jest najjaśniejszą postacią całego spektaklu. Prosta, psychicznie nieskomplikowana, trochę zahukana przez miasto i otoczenie dziewczyna ze wsi natrafia na trudności, z którymi żadną miarą nie potrafi sobie poradzić. Jedynym doradcą może być tylko serce, które jest zbyt naiwne by ustrzec ją mogło przed nieszczęściem. Zaloty panicza rodzą miłość — a ta zawsze tam— gdzie strona męska legitymuje się perfidią, a kobieca naiwnością, kończy się jednakowo. Dramat się pogłębia. Na progu przepaści następuje, przypadkiem zresztą, przebłysk świadomości. Potulne, skrzywdzone jagnię staje się lwicą broniącą swoich i swojego dziecka praw do życia. Ba, to rozbudzone nagle przekonanie o doznanej krzywdzie wywołuje nie zupełnie rozumianą, bo prawie podświadomą zapowiedź, iż dziecko, które narasta w łonie, może stać się mścicielem za matczyne łzy.

Te wszystkie przemiany, narastanie (jeśli to tak można określić) postaci pokazała Eichlerówna w sposób dyskretny, a mimo to zupełnie niedwuznaczny i co chyba najważniejsze, dla każdego widza przejrzysty, zrozumiały. Byłoby może lepiej, gdyby znakomita aktorka zechciała nieco ścieniować nieme akcentowanie przeżyć (zwłaszcza tzw. wymowa spojrzeń niekiedy jest przerysowana czasem trwania sceny), ale to są już drobiazgi dyktowane przez zbytnią chyba skrupulatność recenzenta. Wydaje się, że warto by (jakkolwiek śmieszny jest podział na jakieś role główne i poboczne), prosić Eichlerówną o kreację, któraby pozwoliła nam pełniej rozkoszować się jej olbrzymim talentem.

Aby skończyć z obsadą sztuki wspomnieć należy, iż ani p. Danuta Urbanowicz (sztuczna Lokatorka) ani p. Cz. Nadworna (prostacka zamiast prostej — Tadrachowa) nie potrafiły nas zadowolić. „Salon“ Dulskich nie nastręczył p. Marianowicz Sigmundowi zbyt wielu kłopotów, a nam powodów do oceniania pracy scenografa.

***

Dobrze jest, że dyskusja wokół dzieła Zapolskiej weszła już na takie tory, na których nie grozi niebezpieczeństwo uproszczeń. Sprawa jest dla wszystkich jasna. Pisarstwo Zapolskiej wynikło z wewnętrznej pasji jednostki, która nie czuła w sobie żadnego powołania na społecznicę i z olbrzymiego, choć często nie kontrolowanego talentu. W „Moralności“ ledwie dwukrotnie zdobyła się Zapolska na podsunięcie widzowi jakiejś oceny sytuacji. Po raz pierwszy, kiedy przemówił wreszcie Dulski, słowami: niech to wszyscy diabli!...

Być może, iż zupełnie świadomie Zapolska pozwoliła mu w całej sztuce tylko te właśnie słowa powiedzieć, aby tym silniej ich sens podkreślić. Ale, opinia ta, opinia wypowiedziana przez Dulskiego, a podana w sposób aż tak ogólnikowy nie może służyć za jakąś legitymację dla stanowiska autorki. A jeśli tak, to legitymacja ta musiała by świadczyć o niesprecyzowaniu własnej postawy.

Równie nieprzekonywującym jest końcowe zdanie Meli, która stwierdza, iż czuje, że tu przed chwilą jak by kogoś zabito. Ta podświadomość chorobliwego dziecka to znowu chyba brak odwagi Zapolskiej do wydania sądu. I sądu tego nie możemy się spodziewać. Zapolska rejestrowała skrupulatnie, realisycznie objawy choroby, bez zainteresowania się jej przyczynami, bez próby znalezienia lekarstwa.

Czy wskutek tego mało, powiedzmy po prostu, rewolucyjnego traktowania zjawisk, celowe jest wystawianie sztuk Zapolskiej? Oczywiście: tak. Obecność na „Moralności Pani Dulskiej“ przypomina mi (przepraszam za makabryczność porównań) pracę studenta medycyny w prosektorium: sekcja zwłok pomaga w nauce, uczy przyszłych lekarzy jak uchronić pacjenta przed stwierdzonymi tu schorzeniami. Oczywiście praca w prosektorium to jeszcze nie koniec studiów medycznych: gdzie indziej uczą źródłowego wykrywania przyczyn, gdzie indziej wreszcie umiejętności logicznego stawiania diagnozy.

(t. b.).

Co piszą inni...

Zagadnienie pochodzenia człowieka jest od dawna przedmiotem żywej dyskusji wśród uczonych katolickich. Ostatnio nasza prasa przyniosła kilka artykułów, które pozwalają szerokim rzeszom czytelniczym śledzić rozwój i kierunek tych płodnych dyskusji.

A więc przede wszystkim czytaliśmy artykuł ks. Kazimierza Kłósaka pt. „Czy upadek ewolucjonizmu antropologicznego?“ (Znak, nr 18) Charakterystyczną cechą tego artykułu jest to, iż autor nie poprzestał na argumentach zaczerpniętych z nauk pozytywnych, ale sięgnął również do argumentacji **filozoficznej.** Otóż, zdaniem ks. Kłósaka, idea ewolucji doskonale harmonizuje z ideą nieskończonej mądrości i konsekwencji Bożej. „Bóg najmędrszy, najbardziej konsekwentny, nie będzie ingerował w sposób nadzwyczajny tam, gdzie do pewnego skutku mogą doprowadzić drogą naturalną ustanowione przez Niego prawa przyrody...“. Autor bardzo ściśle określa zakres eksplikacji ewolucjonistycznej: „Przy tym stosowaniu teorii ewolucji nie myślę oczywiście negować przekształcającego wpływu stworzonej przez Boga duszy ludzkiej, dzięki któremu to wpływowi Bóg może być uważany za stwórcę w znaczeniu szerszym ciała pierwszego człowieka“.

Te same myśli podejmuje interesujący i poważny (choć w szczegółach mogący budzić pewne wątpliwości, zresztą wytknięte już w polemice) artykuł ks. Z. B. Fróga pt. „Katolik a pochodzenie człowieka“ (Tygodnik Powszechny, nr 251). Autor stwierdza, że w odniesieniu do tego zagadnienia „katolik, jeśli chce być w zgodzie z wiarą, musi przyjąć następujące prawdy, które są dogmatami lub wprost z nich wynikają: 1) pochodzenie duszy ludzkiej wprost od Boga; 2) istnienie tylko jednej nieśmiertelnej, niematerialnej duszy ludzkiej; 3) pochodzenie całego rodzaju ludzkiego od Adama i Ewy. Natomiast inaczej rzecz się przedstawia z pochodzeniem ciała ludzkiego“. Otóż „z tekstu Pisma św. nie można wyprowadzać twierdzenia, że teoria o ewolucyjnym ukształtowaniu ciała ludzkiego jest sprzeczna z objawieniem. Wszyscy teologowie są dzisiaj zgodni co do tego, że Pismo św. nie jest podręcznikiem biologii, paleontologii, astronomii czy jakiejkolwiek innej gałęzi wiedzy przyrodniczej... Jeżeli zgodni jesteśmy co do tego, to dlaczego twierdzić że właśnie w tym wyrażeniu: „stworzył Bóg ciało człowieka z mułu ziemi“ i „tchnął weń dech żywota“ chciał autor wyrazić z naciskiem twierdzenie, iż ciało ludzkie powstało z materii nieorganicznej — a nie raczej tylko to, że człowiek tak co do ciała jak i co do duszy stworzony został przez Boga i posiada dwa odrębne składniki swej natury: materialne ciało i niematerialnego ducha“.

W dalszym ciągu swoich rozważań, po szczegółowej analizie relacji biblijnej, autor przystępuje do polemizowania z trudnościami wysuwanymi przeciw teorii o ewolucyjnym pochodzeniu ciała ludzkiego. Pierwszą sprawą jest tu stosunek do egzegezy tradycyjnej. „Co do tradycji — pisze ks. Fróg — powinniśmy pamiętać, że nie wolno odstępować od rzeczy istotnych. W sprawach dogmatu nie ma dyskusji. Gdy chodzi jednak o inne sprawy, o tłumaczenie Pisma św. w rzeczach drugorzędnych, dopuszczalna jest ewolucja poglądów i taka rzeczywiście istnieje. **Nie jest ona bynajmniej ustępowaniem pod naciskiem, jak się niektórym wydaje, lecz wchłanianiem i chrystianizowaniem zdobyczy wiedzy i myśli ludzkiej“** (podkreślenie moje — Z. K.).

Ks. Fróg, podobnie jak ks. Kłósak, ustawia zagadnienie na płaszczyźnie filozoficznej. Argumentacja obu autorów ma wiele punków wspólnych. Ks. Fróg pisze: „Zanim Bóg wlał duszę ludzką w ciało, które miało stać się ciałem człowieka, było ono ciałem zwierzęcia. Formy poprzedzające gatunek **homo sapiens** są formami **świata zwierzęcego, a nie przodkami człowieka w ścisłym znaczeniu.** Bóg po prostu przygotował materię poprzez kolejne coraz doskonalsze stadia rozwoju, do tego momentu, aż stała się odpowiednia do połączenia z duszą“. A dalej czytamy: „Zdaje się, że większym cudem, i to zgoła niezgodnym ze zwyczajami działania Bożego, byłoby stworzenie ciała ludzkiego z materii nieorganicznej, gdy istniała już materia organiczna ożywiona“.

Takie postawienie sprawy zostało zaatakowane przez ks. Bernarda Lucjańskiego (artykuł pod takim samym tytułem, Tygodnik Powszechny, nr 257). Polemizując z filozoficznymi argumentami obu zwolenników ewolucjonizmu antropologicznego, pisze: „Nie mam zamiaru wszczynać jałowej dyskusji, co by Panu Bogu więcej odpowiadało: stworzenie człowieka z istniejącego już organizmu zwierzęcego czy z materii nieorganicznej; cokolwiek byśmy bowiem powiedzieli w tej sprawie, będzie to przypisywaniem własnych pojęć Panu Bogu, czyli pewnym wyidealizowanym antropomorfizmem“. Wszyscy jednak autorzy stwierdzają z naciskiem, że ewolucjonizm antropologiczny (ograniczony do ciała ludzkiego) może być zharmonizowany ze światopoglądem katolickim. Jest jednak rzeczą jasną, że autorytet Kościoła musi zachowywać dużą rezerwę wobec teorii, która jak dotąd jest tylko — hipotezą. A różnorakie, zarówno ściśle naukowe jak i filozoficzne trudności przeciw ewolucjonizmowi antropologicznemu, zgromadził ks. Lucjański w swoim artykule.

Z. K.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński. **Wydawca: Kolegium Redakcyjne**

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto PKO — Nr I-727

Sekretarz redakcji przyjmuje: **codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.** **Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.**

Druk. Skolimowska 5. B-103282